

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 5. Warszawa, dnia 22 Stycznia (3 Lutego) 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	rs. 4 k. —
kwartalnie	„ 1 „ 50	kwartalnie	rs. 2 k. —
miesięcznie	„ „ 50		

w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, Št.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Społki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

OSOBNIKI.

Czytając stare dokumenta, lub rękopisy pożółkłe z minionej epoki naszych dziejów, z podziwem spostrzegamy uderzające podobieństwo charakterów pisma, tak iż zdaje się nam jakby te pamiątki jednę i tąż samą zawsze ręką były kreślone, choć widzimy w nich pozostałości z rozmaitych lat, po osobach różnych wiekiem, stanem i powołaniem... Spostrzeżenie to nie nowe bynajmniej, każdy zapewne uczynił, każdy też zeń wyprowadzał sobie wnioski. Ludzie dawniejsi bardziej do siebie byli podobni niż my jesteśmy!

Tak jest w istocie. Epoka miniona odbiła na nich jeden i ten sam stempel skrystalizowanych pojęć, dążeń, idei, wszystkiego co stanowiło ich świat moralny i umysłowy; nadała im pewien wspólny charakter, okazujący się nawet w sposobie kreślenia liter, charakter sformułowanego i zamykającego się już cyklu dziejów... Spojrzyjmy na ludzi starej daty, schodzących już z widowni życia, coraz rzadszych! Wszyscy oni są niby bracia rodzeni. Ich wyobrażenia, zachowanie się, sposoby mówienia, ruch, gest każdy, tak są podobne mimo indywidualnych właściwości odrębnych, że w każdym prawie starcu widzisz coś, co ci ujmująco przypomni własnego dziadka...

Nie znaczy to przecież jakoby dziadowie nasi pozbawieni byli samodzielności charakterów, gdy my, ich wnukowie, indywiduami samoistnemi jesteśmy... Przeciwnych wniosków łatwo by nam się dopytać. Spostrzeżenie to dowodzi nam tylko, że gdy oni karmili się wspólną strawą przekonań, należeli do wybitnie skontastowanych kierunków życia i przy właściwem sobie świetle kroczyli — my nie mamy stałych przekonań i samodzielności a konwenans zastępuje nam jednolitość charakterów i jeden tylko spaja sprzeczne, niewyklarowane żywioły.

Ktokolwiek bacznie a z miłością wpatruje się w obraz obecnego życia w społeczeństwie naszem, kto nakłoni ucho by wsłuchać się w tętno jego życia, dojrzy i dosłyszy tam oznaki przesilenia, po odrętwiałości długiej choroby — i wierzyć będzie w wieczną żywotność pokoleń odradzających się i rozwijających się na nowo.... Minęły czasy zastoju bezwładnego i drgnięć konwulsyjnych, lunatycznych poruszeń ducha i goryczy bezradnej, teraz wychylamy się z mroku do życia, jak świadczy o tem budząca się coraz wyraźniej działalność na rozmaitych polach pracy rozumnej, nacechowanej dobrą wolą i zrozumieniem potrzeb... Każdą oznakę takiej pracy choć drobną witamy z radością, jak pierwsze nieznane zrazu znaki potężnej siły społeczeństwa, wchodzącej w ruch powoli. Nie dziw że z niecierpliwością wołamy „więcej, więcej!“ że z goryczą wyrzucamy sobie niedostatki, słabości, winy.

Położyliśmy na czele tej pogadanki tytuł „Osobniki.“ Pod wyrazem tym rozumiemy owo aż nadto widoczne u nas odstrychnięcie się jednostki od ogółu.

Mamy tu na myśli ludzi najbliższych sobie wspólnością życia, potrzeb i interesów, którzy mimo to jednak pozostają tak obcymi i obojętnymi sobie, jakby ich oddzielały mury lub przestrzenie. Zjawisko to spostrzega się we wszystkich sferach życia. Pracownik na jakiembądźkolwiek polu, członek jakiejbądźkolwiek gromady, zamyka się ściśle w kółku spraw osobistych i drobnych stosuneczków koteryjnych, kroczy jak mu się widzi własną ścieżyną, przy świetle niepewnych własnych opinij i z po za swych opłotków ledwie wyjrzy, aby sąsiadowi powiedzieć zdawkowe „dzień dobry.“

Łatwo pojąć jak taki stan rzeczy prowadzi do ciasnego egoizmu, jak szkodzi rozumnie pojętemu osobistemu dobru jednostek, a na drodze rozwoju społecznego, zapanowaniu ogólnego ruchu w ustalonych kierunkach, jaką stanowi tamę nieprzebytą.

Jakże wiele takich grzechów liczymy! Przykładów nie szukać daleko. Zacznijmy od miasta.

Stosunki czysto towarzyskie przedstawiają tak tu jak wszędzie piaszczystą pustynię, zapełnioną czczym, powierzchownym, nurzącym konwenansem. Nadzwyczaj rzadko sprawa jakaś żywotna porusza ludzi czujących się do obowiązku pewnej wspólności. Sprawy wychowania, praktyczne kwestye bytu i życia codziennego, wspólne obmyślanie środków ku załatwieniu bieżących potrzeb, wspólne zaradzanie takowym, wszystko to wydaje się nam częstokroć dziwactwem na zebraniach poświęconych zdawkowym frazesom, sztucznym uśmiechom, co się wszystko niby nazywa zabawą.

Ale już nie mówmy o tych prywatnych stosunkach, gdzie człowiek przed człowiekiem chowa się jak żółw w skorupę. Spojrzyjmy w dzieje stowarzyszeń, korporacyj, w stosunki bardziej specyalnej natury ludzi, popychanych ku sobie wspólnością interesów. Jaka niechęć, jakie zaniedbanie, jaka ociężałość i nieruchomość! Każda jednostka otacza się olimpij-

ską powagą i kamienną obojętnością jeśli nie lekceważeniem; nie czuje się zdolną wejść w skład zbiorowego *ja*, czy też nie umie mu nic dać z siebie. Przyczyna prosta, brak jej siły indywidualnej, szczerej chęci złączenia swych interesów z interesami pewnego ogółu, i odwagi do wyjścia z ciasnego kółka w którem żyć przywykła. Oto macie zbiorowiska „osobników."

Wieluż to znajduje się pracowników na jednym i tymże samym zagonie, którzy znać się nie chcą, unikają się jakby zagniewani byli na siebie, choć zbliżenie, porozumienie i wspólna pomoc, nieobliczone przyniosły by im korzyści? U nas tylko można widzieć ludzi, którzy zdolni są kilka godzin np. siedzieć obok siebie i mierzyć się oczami, nie zdobywszy się na odwagę przemówienia.

Spójrzmy gdzieindziej. Oto małe miasto. Zawiera w sobie kilkadziesiąt lub więcej jednostek światlejszych, pojmujących potrzebę ulepszeń w swej siedzibie, ulepszeń pod rozmaitemi względami. Każden z tych ludzi z osobna wzięty jest mniej lub więcej rozsądnym, każdy z osobna narzeka, czuje rozliczne braki, niezaspokojone potrzeby swego miasteczka. Mimowolnie nasuwa się pytanie: dla czego ci dobrzy ludzie nie chcą przypuśćmy, postarać się o wygodę wspólną, o założenie straży ogniowej, kassy oszczędności, czytelni, odczytów, teatrów amatorskich, korzystnego przedsiębierstwa i t. p. Dla czego? Bo są osobnikami. Dla czego inteligencya żeńska nie pomyśli o korzystnem użyciu tej masy czasu, na obmyślenie ogniska wspólnej pracy, jak tego dają przykłady większe miasta? Dla tej samej przyczyny.

Obfitszego może jeszcze żniwa przykładów, zgubnego odosobnienia się, dostarczą nam stosunki wiejskie. Nie dotykamy tu już towarzyskiego życia, które mniej więcej zbliżony przedstawia obraz z oschłością podobnych stosunków miejskich, i zaznaczywszy tylko zakopywanie się w domowych zagrodach, niby wśród zasp zimowego śniegu,—które to zjawisko tłómaczy się jasno brakiem środków do tak zwanego otwarcia domu, co znów według zakorzenionych pojęć w parze chodzi z karmieniem i pojeniem gości do zbytku; zaznaczywszy tylko tę stronę odosobnionego życia, przejdźmy do stosunków ściśle społecznych.

Naprzód każda prawie oświecona jednostka uważa się tu za wyjątek z pod szerszej jakiej powszechności, tak, iż każde słowo któreby rzucone było ogółowi, padnie na ziemię między usuwające się skwapliwie osobniki. Dalej, żadna z klas społecznych nie ma o tyle gotowych ram do życia zbiorowego, i takiej niwy do czynów obywatelskich jak właściciele ziemscy, w szczupłym z pozoru zakresie samorządu gminnego.

Gotująca się reforma sądownictwa, powołuje inteligentnych właścicieli ziemskich do wejścia w skład organicznej budowy małego ogółu dla służenia jego potrzebom; tymczasem jak przed kilką laty tak i teraz jeszcze, dziwna jednozgodność opinij wstecznych, panuje wśród tej inteligencyi wiejskiej. Pierwszy opór duchowi czasu i jego potrzebom, wraz z utyskiwaniem bezradnem na bieżący stan rzeczy, panują tu powszechnie, zamiast garnięcia się ku legalnym drogom ulepszeń. Niedawno w „Gazecie Warsz." która nie dała się wyprzedzić, w podaniu zdrowych poglądów na sprawę w mowie będącą, odezwał się głos „osobnika" o jakich mówimy, i wypowiedział za jednym zamachem to wszystko, co słyszeć można codziennie w kołach „inteligencyi wiejskiej."

Wystawiwszy trudności i przeszkody otaczające inteligentną jednostkę chcącą pracować dla swej gminy, a przemilczając przyczyny tych trudności bynajmniej zresztą nie stanowczych, nie wachał się wyrzec strasznego słowa: że droga do ulepszeń zamknięta, i że tak zwany obywatel wiejski za członka gminy swej może się nieuważać. Jak nazywać taki dowód szczerości?...

Wnioski z tych przykładów pozostawiamy czytelnikom, którzy za osobników uchodzić nie chcą....

A. Mirski.

HISTORYA O PIĘKNYM PECOPIN
I PIĘKNEJ BAULDOUR,

przez

Wiktora Hugo.

(Dalszy ciąg)

O kilka kroków od Pecopina stał odwrócony plecami starszy leśniczy, komenderujący całem polowaniem. Pecopin chcąc zadać jakieś pytanie, położył mu rękę na ramieniu.

Leśniczy odwrócił się. Był w masce. Pecopin zapomniał co miał powiedzieć. Już zaczął zastanawiać się poważnie, jakim sposobem można byłoby wykręcić się od tego polowania, kiedy starzec przystąpił bliżej.

— Cóż kawalerze, co myślisz o moich psach, zapytał.

— Myślę, że chcąc pędzić za takiemi szalonemi psami, potrzeba mieć chyba szalone konie.

Stary nie odpowiadając Pecopinowi, podniósł do ust świstawkę srebrną, umocowaną na końcu małego palca lewej ręki i gwizdnął.

Każdy człowiek z wyrobionym smakiem, idąc na nową sztukę do teatru, powinien się zabezpieczyć w podobną świtawkę.

Jak tylko świst się rozległ, natychmiast wszczął się ruch pomiędzy drzewami, obecni rozstąpili się, a czterech koniuszych wyprowadziło dwa wspaniałe konie.

Jeden z nich był to piękny dzianet hiszpański, z dumną postawą, kopytami gładkiemi, i pięknie zaokrąglonemi, z krótką dobrze wyciętą pęciną, z łydką suchą i muskularną, kolanami wydatnemi bez mięsa. Nogi miał pięknego jelenia, pierś szeroką i otwartą, krzyż rozłożysty, miękki, drgający. Drugi koń był to tabuńczyk tatarski z potężnym grzbietem, długą łopatką, zwięzłym bokiem, i błyszczącą szerścią. Szyję jego nie zbyt zgiętą pokrywała grzywa gęsta, kędzierzawa; długi ogon spływał aż do ziemi, skóra na czole zmarszczona nad oczami wielkiemi błyszczącemi, nozdrza otwarte, uszy niespokojne, na czole strzałka, na dwóch nogach pończoszki; w pełnym kwiecie odwagi, koń ten miał zaledwie siedm lat. Pierwszy miał głowę ustrojoną w blachę, napierśnik z herbami i siodło wojenne. Drugi był nie tak dumnie, lecz za to wspanialej ustrojony. Miał srebrne wędzidło, różę złoconą, lejce przeszywane złotem, siodło królewskie, czaprak ze złotogłowiu, chwasty spływające i na głowie drżącą kitę. Pierwszy z nich gryzł wędzidło, tłukł nogą o krzemienie, wyrywał się, parskał, pragnął boju. Drugi oglądał się na wszystkie strony, jakby czekając oklasków, rżał wesoło; dotykał zaledwie ziemi kopytami i stąpał z góry. Obydwa były dwa czarne jak heban.

Pecopin z oczami olśnionemi od uwielbienia, patrzał na te dwa cudowne zwierzęta.

— I cóż, rzekł kulawy pan pokasłując, którego wybierasz?

Pecopin nie namyślając się ani chwili dosiadł dzianeta.

— Trzymasz się na siodle? zapytał starzec.

— Trzymam, odpowiedział Pecopin.

Starzec rozśmiał się na całe gardło i zdzierając jedną ręką uzdeczkę, czaprak, siodło, drugą ujął za grzywę, i skoczył jak tygrys oklep na konia, którego wszystkie członki drżały, potem chwyciwszy za róg co wisiał u pasa, zadął tak straszliwą fanfarę, że ogłuszonemu Pecopinowi zdawało się, że ten potworny starzec, ma chyba pioruny w piersiach.

XI.

Na co można narazić się, wsiadając na nieznanego sobie konia.

Przy dźwiękach tego rogu, las cały aż do najdalszych głębin oświecił się tysiącem nadzwyczajnych świateł, w gęstwinie migały cienie a głosy w oddali wołały: Na łowy! Psiarnia szczekała, konie parskały, drzewa trzęsły się jak w czasie burzy.

W tejże chwili dzwon pęknięty, który zdawał się jęczyć w ciemnościach, wybił północ.

Przy ostatniem uderzeniu, starzec powtórnie przyłożył róg do ust, służba spuściła ze smyczy psy, które pomknęły jak garść kamieni z procy rzuconych, krzyki i wycie wzmogły się, i wszyscy myśliwi, pikinierzy i strzelcy, starzec i Pecopin, puścili się galopem.

Galop gwałtowny, namiętny, nieziemski, błyskawiczny, porwał Pecopina, unosił, upajał, w mózgu jego rozlegał się stuk końskich kopyt, jak gdyby czaszkę miał wybrukowaną; galop ten olśnił jak błyskawica, odurzał jak orgia, doprowadzał do szału jak bitwa; chwilami stawał się wichrem, wicher dorastał do uraganu.

Las nie miał końca, strzelców była moc niezliczona, za polankami następowały polanki, wiatr płakał, krzaki szumiały, psy szczekały, olbrzymia sylwetka jelenia, którego rogi miały szesnaście gałęzi migała chwilami w zaroślach i uciekała przez światła i cienie. Koń Pecopina sapał straszliwie, drzewa nachylały się chcąc lepiej zobaczyć przesuwający orszak, i padały w tył po jego mignięciu; straszliwe fanfary na chwilę dawały się słyszeć, potem wszystko zamilkło i wdali tylko rozlegał się róg starego strzelca.

Pecopin nie mógł odgadnąć gdzie jest. Galopując około ruin ocienionych jesionami, z pomiędzy których, z wysokiej ściany z por-

firu spadała w dół kaskada, zdawało mu się że poznaje zamek Nideck. Potem na lewo przemknęły góry, w których niby rozpoznawał małe Wogezy; następnie poznał po kształcie wierzchołków cztery góry, to jest: Ogniowe pole, Ungersberg, Klimont i Sejm skalny.

Za chwilę potem był w wielkich Wogezach, w kwandrans niespełna koń przebiegł Giromagny, Rotabac, Sultz, Barenkopf, Graisson, Bressoir, Haut de Honce, górę Lure, Niedźwiedzią głowę, wielki Douon i wielki Ventron.

Szczyty gór ukazywały się zmieszane bezładnie w ciemnościach, jak gdyby olbrzymy pomieszały cały łańcuch gór Alzacyi. Niekiedy rozpoznawał pod sobą jeziora będące na wierzchołkach Wogezów, jak gdyby te jeziora migały się pod kopytami konia. W ten sposób widział swój cień w Pogańskiej kąpieli i w Kadzi do skoków, w czarnym i w białym jeziorze; widział go jak jaskółka widzi swój obraz w stawie, który zaledwie musnęła w przelocie; znikł wprzód prawie zanim się ukazał.

W tym wyuzdanym i szalonym biegu, Pecopin trzymał ciągle ręką swój talizman, ciesząc się, że bądź co bądź, nie oddala się przynajmniej od Renu.

Nagle gęsta mgła owionęła Pecopina. Drzewa zaczęły się w niej zacierać, potem zginęły, hałas polowania wzmógł się w ciemnościach, a dzianet hiszpański, zaczął galopować z nowym zapałem.

Wśród gęstej mgły Pecopin zaledwie mógł rozpoznać uszy swojego konia. W podobnej chwili trzeba się zdobyć na wielkie wysilenie, trzeba mieć wiele zasług, ażeby duszę swą polecić Bogu, serce wysłać myślą do kochanki. Dzielny nasz rycerz umiał wzbudzić w sobie taką modlitwę. Myślał o Bogu i o Bauldour, może nawet więcej o Bauldour niżeli o Bogu, kiedy nagle zdawało mu się, że jęk wiatru zmienił się w głos i wymówił wyraźnie wyraz: *Heimburg;* w tej chwili jedna z pochodni niesionych przez pikinierów, rozproszyła na chwilę mgłę i przy świetle tej pochodni Pecopin ujrzał nad głową, kanię przebitą strzałą, a jednak lecącą po nad nim.

Pecopin chciał przyjrzeć się temu ptakowi, ale koń dał szczupaka, kania uderzyła skrzydłami, pochodnia pogrążyła się w lesie i naokoło Pecopina znów noc zapadła.

Po chwili wiatr przemówił wołając: *Vaugtsberg.* Nowe światło rozjaśniło mgłę i Pecopin ujrzał w pół cieniu sępa, który miał skrzydło przeszyte pociskiem, a jednak leciał. Otworzył usta chcąc krzyknąć, otworzył oczy chcąc lepiej zobaczyć, ale zanim zdołał spojrzeć, zanim zdołał głos wydać, sęp, światło i pocisk zniknęły.

Koń jego ani na chwilę nie ustawał, i z pochyloną głową wpadał pomiędzy te cienie, jak gdyby był ślepym koniem szatana Paphosa, lub głuchym koniem króla Sisymordacha.

Wiatr po raz trzeci przemówił i Pecopin w tym smutnym głosie powietrza usłyszał wyraz: *Rheinstein;* trzecia błyskawica krwawą łuną powlekła drzewa i trzeci ptak się ukazał. Był to orzeł, z dzirytem w piersi, leciał jednakże.

Wtedy Pecopin przypomniał sobie polowanie z Pfalzgrafem na które pozwolił się namówić, i zadrżał cały. Galop jednak konia tak szalenie się wzmagał, drzewa i niepewne pejzaże nocne tak błędnie migały, szybkość przedmiotów w około niego była tak gwałtowna, że unosiła wszystko nawet co było w duszy Pecopina. Widziadła i cienie następowały w takim zamęcie, że nie był w możności zatrzymać się duchem na szczegółach.

Myśli jak wiatr przelatywały przez jego głowę. W oddali ciągle słychać było wrzask polowania, chwilami zaś potworny jeleń nocny, odzywał się w gęstwinie.

Powoli mgła podniosła się, powietrze stało się ciepłem, drzewa przyjęły inną postać, korkowe dęby, pistacye i sosny Alepu ukazały się na skałach. Wielki biały księżyc otoczony szerokim kręgiem oświecał ponuro te zarośla. Pecopin jednak doskonale pamiętał, że to nie była noc księżycowa.

Przebiegając po głębokiej drodze, Pecopin nachylił się i z urwiska podniósł pęk trawy.

Przy świetle księżyca rozpoznał te rośliny i z przerażeniem poznał anthyllę ceweńską, weronikę cienkolistną i ferulę zwyczajną, której obrzydłe liście kończą się jak pazury.

W pół godziny potem, wiatr jeszcze powiał cieplejszy, jakieś morskie widziadła zapełniały odstępy w puszczy; znów się nachylił i porwał pierwszą garść roślin co mu w rękę wpadła. Tą razą była to cytisa srebrna z Cetty, anemona gwiaździsta z Nicei, lavatera morska z Tulonu, krwawe geranium z dolnych Pireneów, tak łatwe do poznania z powodu swych palmowych liści z pięcioma wycięciami i wielka astrantia, której kwiat błyszczy jak słońce wśród pierścienia planety Saturna.

Pecopin spostrzegł, że oddala się z gwałtowną szybkością od Renu; pomiędzy dwoma schyleniami przebiegł sto mil. Minął Wogezy, minął Cewenny, w tej chwili był w Pireneach. „Raczej śmierć" pomyślał, i chciał zeskoczyć z konia. W chwili kiedy zrobił ruch, ażeby wydobyć nogi z strzemion, dwie ręce żelazne ujęły go za stopy.

Spojrzał. To strzemiona tak go schwyciły przytrzymując na siodle. To były żywe strzemiona.

Słychać było odległe krzyki, wycie, szczekanie wściekłe i róg starego strzelca, co wyprzedzał polowanie na straszną odległość, trąbiąc przejmujące melodye; pomiędzy zaś białawemi krzakami miotanemi od wiatru, Pecopin widział psy jak wpław przebywały stawy pełne odbitych widziadeł czarodziejskich.

Biedny rycerz upadł na duchu. Zamknął oczy i dał się unosić. Po chwili znów je otworzył; zwrotnikowy upał jak z ogniska buchnął mu w twarz; ryk tygrysa i szczekanie szakalów dobiegły jego uszu, zobaczył ruiny pagody na szczycie której poważna linia sępów, filozofów i bocianów, skłoniła się przed nim; dziwaczne drzewa machały na wszystkie strony gałęziami; rozpoznał banan i baobab, l'oüé nonbouyh świstał, l'oyra rameum nucił, mały gonambuch śpiewał. Pecopin był w lesie indyjskim.

Zamknął oczy.

Kiedy je znów otworzył, po tchnieniu równikowem nastąpił mroźny wicher, zimno było straszliwe. Podkowy konia tętniały na grudzie. Rangifery, alsy i satyry latały we mgle jak cienie. Obrzydliwą była nierówność lasu i gór. Na widnokręgu widać było tylko niezmierne skały na około których latały mewy. Przez czarniawą zieloność przebijały białe bałwany morskie, rzucające w niebo kłęby piany w zamian odbieranych kłębów śniegu. Pecopin mijał modrzewie Bijarmyj, około bieguna północnego.

Noc ściemniała jeszcze. Pecopin nic nie mógł widzieć, słyszał tylko ryk fali, w którym poznał Maëlstrom, to piekło starożytnych, ta zagłada na morzu. Cóż to więc był za las przerażający, co wieńcem swoim okalał ziemię?

Jeleń z rogami o szesnastu odnogach ukazywał się niekiedy. Ciągle goniony, uciekał ciągle.

Wrzaski i cienie rzucały się w ślad za nim a róg starego strzelca głuszył wszystko nawet huk Maëlstromu. Nagle dzianet zatrzymał się. Szczekania ustały, wszystko zamilkło naokoło Pecopina. Biedny rycerz, który od godziny zamknął oczy, otworzył je teraz.

Znajdował się przed fasadą wielkiego gmachu, którego oświecone okna, zdawały się nań patrzeć. Fasada była czarna jak maska—i żyjąca jak twarz.

XII.

Opis złej gospody.

Trudno jest opowiedzieć co to był za budynek. Wydawał się on domem potężnym jak cytadela, cytadelą wspaniałą jak pałac, pałacem groźnym jak koszary, koszarami niememi jak grób. Nie słychać w nim było żadnego głosu, ani widać żadnego cienia. Naokoło tego zamku, którego obszar przerażał jak coś nadziemskiego, rozciągał się las bez końca. Na niebie, z którego księżyc zniknął, świeciły tylko gwiazdki czerwone jak krew. Koń zatrzymał się u stóp perronu, który prowadził do wielkich drzwi zamkniętych. Pecopin spojrzał na prawo i na lewo i ujrzał wzdłuż fasady wielu jeźdźców oczekujących nieruchomie u stóp innych perronów. Pecopin wyciągnął sztylet ażeby uderzyć gwałtownie głownią o marmurowę balustradę schodów, kiedy nagle rozległ się róg starego strzelca w bliskości, jak gdyby za fasadą zamku. Róg ten miał dźwięk tak potężny, niezmierny, brzmiący jak ryk burzy, jak huk trąby spadłego archanioła. Ta muzyka pod którą drzewa uginały się do ziemi, w ciemnościach śpiewała piekielne: hallali. Zaledwie róg zamilkł, drzwi zamku otworzyły się na rozścież jak wiatrem parte. Potok światła z nich wypłynął.

Dzianet wszedł na schody perronu i Pecopin wkroczył do sali wspaniale oświetlonej.

Na ścianach tej obszernej sali wisiały kobierce, przedstawiające wypadki z historyi rzymskiej. Odstępy pomiędzy niemi przystrojono w ozdoby z cyprysu i kości słoniowej. Na galeryi okalającej salę stały piękne kwiaty i drzewa. W jednym boku sali pod rotundą było miejsce przeznaczone dla kobiet, gdzie podłogę wyłożono agatami. Reszta podłogi była z mozajki przedstawiającej wojnę trojańską. Sala była zupełnie pusta. Trudno przedstawić sobie coś straszliwszego od tej jasności niezmiernej, w tej niezmiernej pustce.

Koń sam szedł, a stąpania jego rozlegały się po mozajce; przebiegł powoli całą salę i

wszedł do drugiej również oświetlonej, olbrzymiej a pustej. Na ścianach tej sali w szerokich ramach z rzeźbionego cedru, tajemniczy artysta, przedstawił cudowne obrazy nabijane złotem i perłową macicą.

Były to bitwy, polowania, czarodziejskie uczty w zamkach sztucznemi ogniami oświetlonych, napady faunów i dzikich ludzi, potyczki i walki morskie na wszelkiego rodzaju okrętach unoszących się na oceanie z turkusów, szmaragdu i szafirów, które wybornie naśladowały okrągłość słonej wody i wzdęcie fal morskich. Pod obrazami na fryzie wycinanym mistrzowskiemi nożycami, widniały epizody przedstawiające wszystkie rodzaje ludzi jakie tylko wyobrazić sobie można, to jest olbrzymów, mężów i karłów, wszędzie zaś człowiek był upokarzony, jako słabszy od olbrzyma, głupszy od karzełka.

Sufit za to zdawał się składać jakiś złośliwy hołd geniuszowi ludzkiemu. Był on złożone z samych medalionów, w których wyobrażeni byli w ciemnym oświetleniu i w koronach Plutona, wszyscy co wynaleźli tak zwane użyteczne rzeczy i stąd nazywają się dobroczyńcami rodu ludzkiego. Każdy z nich był tu umieszczony za dokonany przez siebie wynalazek. Arabus za medycynę, Dedal za labirynty, Pizystrat za księgi, Arystot za bibliotekę, Tubalkain za kowadło, Architas za machiny wojenne, Noe za żeglarstwo, Abraham za geometryą, Mojżesz za trąby, Amphitryon za odgadywanie snów, Fryderyk Rudobrody za polowanie z sokołem—i pan Bachon rodem z Lyonu, za kwadraturę koła. Pod arkadami wspierającemi kopułę zebrano gwiazdy ludzkości: Flaviusa, który wynalazł busolę, Kolumba, który odkrył Amerykę, Botarga co wymyślił sos do pieczeni, Marsa, który wynalazł wojnę, Fausta wynalazcę druku, mnicha Schwartza, który wynalazł proch i papieża Pontiana, który wymyślił kardynałów.

Wielu z tych sławnych mężów nie znał jeszcze Pecopin, dla tej najprostszej racyi, że w czasie, kiedy ta historya miała miejsce, jeszcze byli nie żyli na świecie.

Rycerz przebył w ten sposób, jadąc gdzie koń go prowadził, długi szereg sal wspaniałych. W jednej z nich zauważył na ścianie na wschodnim murze następujący napis wybity złotemi zgłoskami:

„Kawa arabska nazwana inaczej kavué, jest to roślina rosnąca obficie w państwie tureckiem—którą w Indyach znają pod imieniem „cudowne ziele,“ należy ją tak przygotować: Weź pół uncyi tego ziela i sproszkowaną gotuj w pół kwarcie wody zwyczajnej, przez trzy lub cztery godziny, potem daj zawrzeć tak, ażeby pozostała tylko trzecia część objętości. Pij, powoli łykając, i wciągaj w siebie zapach. Osoby majętne mogą słodzić ją cukrem i dodać ambry szarej.“

Z przeciwnej strony na zachodnim murze błyszczał napis: „Ogień grecki robi się w wodzie z wierzbowego węgla, soli, wódki, siarki, smoły, kamfory i kadzidła; palić się może bez przeszkody w wodzie i niszczy każdą materyę.“

Jednej z sal za całą ozdobę służył portret tego lokaja, który przy uczcie Trimalcyona, chodził na około stołu, śpiewając hymny pochwalne na cześć sosów benzoesem przyprawionych.

Wszędzie pełno było żyrandoli, świeczników i kandelabrów, których blask powtarzał się w zwierciadłach ze stali i miedzi.

Oświecały one niezmiernie bogate ale puste pokoje, przez które posuwał się Pecopin z oczami błędnemi, niespokojny, sam jeden i pełen myśli niewytłómaczonych, jakie zwykle przychodzą marzącemu w głębi ciemnego lasu.

Nareszcie dojechał do wielkich drzwi zamkniętych. Drzwi te były zrobione z czerwonego metalu, po nad niemi w wieńcu z drogich kamieni unosiło się złote jabłko z napisem:

Adam wynalazł ucztę.

Ewa wynazła desser.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XXII.

Z POSIEDZEŃ U LEKARZA.

3. Śledziennik czyli Hipohondryk.

z Prof. i D-ra Bock'a, podał St. W. Łukowski.

— Czy pan konsyliarz nie mógłby poświęcić mi choć chwilkę czasu? Mnie wszędzie boli.

Tak mówił dość tłusty jegomość, w latach otyłości (pomiędzy 45 i 55 rokiem życia), przedwcześnie zestarzały, z nieco blademi policzkami oraz zaspanym, ponurym, niedowierzającym i smętnym wyrazem twarzy; mówiąc to, wydobył z kieszeni długi rejestr, w którym wymienione były wszystkie jego cierpienia, aż do najdrobniejszych szczegółów, i założywszy z wielką starannością okulary, zabierał się do czytania.

— Prawdę powiedziawszy, ja sam nie mogę jeszcze dobrze pojąć swych cierpień, bo też i lekarze różnego są o nich zdania. Czasami zdaje mi się, że prędzej należą one do rodzaju reumatycznych, ba, nawet podagrycznych, aniżeli do hemoroidalnych i nerwowych; przychodzi mi także na myśl, że cierpienia te zaczęły się jeszcze za czasów mej młodości, kiedy byłem skrofulicznym i chorowałem na liszaje Że wątroba odgrywa tutaj także pewną rolę, to widać już z barwy mej twarzy; prócz tego jestem bardzo zaflegmiony, o czem przekonywa mój nieczysty język i podlegam często katarom. Nadewszystko jednak trwoży mnie myśl, że przy swej drażliwości, łatwo mogę być rażony apopleksyą nerwową lub nawet suchotami rdzenia kręgowego. Teraz już pan wie wszystko.

— Przeciwnie, teraz prawie nic nie wiem, gdyż cała historya choroby składa się z pustych, nic nieobjaśniających wyrażeń lekarskich, które nie dają żadnego wcale pojęcia o cierpieniu pańskiem.

W tem miejscu za niezbyteczne poczytujemy nadmienić, że byłoby daleko lepiej, gdyby pacyenci, zamiast zarzucać lekarza wyrażeniami medycznemi, opowiadali mu swe cierpienia w słowach jak najprostszych. Nieodzowne do rozpoznania choroby szczegóły, lekarz potrafi i sam, według możności, wydobyć z chorego ciała, za pomocą obejrzenia, obmacania, opukania i osłuchania tegoż.

Na cóż właściwie cierpi nasz pacyent? Z trudnością przychodzi mu to określić, nie mieszając do swej mowy mnóstwa czczych wyrażeń lekarskich; opowiada on bezustannie swe cierpienia, z jakąś dziwną przyjemnością, przed każdym, kogo tylko napotka. I biada temu, ktoby ośmielił się powątpiewać o niezliczonych jego dolegliwościach fizycznych! Podobnie chory narzeka na bóle, nawiedzające prawie wszystkie części ciała, na częste dreszcze naprzemian z gorączką, na ból i zawrót głowy, szum w uszach, ból w krzyżu, uczucie pełności w dołku sercowym, osłabienie, wychudnienie i łatwe zmęczenie nóg. Nastrój ducha bywa u niego posępny, gniewliwy, bardzo drażliwy; niedowierza on nikomu, jest zadumany, lubi samotność, nie ma ochoty do zwykłych zajęć. A tymczasem, fizyczne zbadanie nie wskazuje ważniejszych zmian, ani zaburzeń w czynności któregokolwiek z głównych narzędzi; jedynie sprawa trawienia nieco jest rozstrojoną, jak o tem przekonywa upośledzony apetyt i stolec.

Opisany dopiero co stan chorobny, dotykający przeważnie płeć męzką (u kobiet zdarza się natomiast historya), nosi w medycynie nazwę: *śledziennictwa*, *hipohondryi* albo *splinu* (spleen). Przyczyną jego jest chorobliwie zwiększona drażliwość układu nerwowego, tkliwość mózgu na wrażenia doznawane przez ciało, znamionująca się chorobową uwagą, ciągle skierowaną na stan własnego zdrowia. Hipohondryę zowią także chorobową pieskliwością, albo zbyteczną troskliwością o siebie samego, tłómacząc ją nadmiernem przywiązaniem do życia. Słowem, hipohondrya polega na rozstrojeniu uczuciowości w skutek chorobowej drażliwości mózgu lub nerwów czucia, czy też obojga razem, a więc jest to pewnego rodzaju choroba umysłowa. Nawiedza ona głównie literatów, uczonych, artystów, polityków i innych; rozwija się po większej części w wieku namiętności, w tej klasie ludzi, cieszących się wszelkiemi dobrami życia, u których mózg najwięcej jest czynnym, a uczucia są zbyt ogniste. Hipohondrya tworzy zapoznanych geniuszów, nudzących się wiecznie turystów i wszystkich tych moralnie przygnębionych i zmęczonych, którzy zamknięci w ciasnym obrębie prywatnej działalności, oraz ograniczeni horyzontem życia publicznego, wiecznie są niezadowoleni ze wszystkiego, wiecznie czegoś pragną, do czegoś dążą i wiecznie znajdują się tym sposobem w niepokoju. Charakterystyczną cechą hipohondryi jest samolubna dbałość, skłaniająca chorego do ciągłego myślenia o swem ciele, do szperania w dziełach lekarskich, do rozwijania najśmieszniejszych teoryj w celu wyjaśnienia swych cierpień, i do próbowania wszelakich sposobów leczenia. Pomimo ustawicznego narzekania i utraty nadziei wyzdrowienia, hipohondryk kocha jednak bardzo życie, a w opowiadaniu o niezliczonych cierpieniach swego ciała, znajduje nawet szczególną przyjemność. Źródłem tej choroby, która przy najpomyślniejszych nawet warunkach zewnętrznych, zatruwa wszystkie roskosze życia i czyni nieszczęsnego chorego, ciężarem dla siebie oraz dla otaczających go osób,— bywa najczęściej zaburzenie w krążeniu i oczy-

szczeniu krwi brzusznej, głównie zaś tej, która płynie przez wątrobę (przy czem jednak ta ostatnia nie jest dotknięta żadnem cierpieniem rzeczywistem), tak, że po przejściu owej nieczystej krwi do ogólnego strumienia, materya nerwów i mózgu nie może być należycie odżywianą.

Dla wyleczenia naszego hipohondryka, okazuje się niezbędnem zastosowanie odpowiednich środków, zarówno względem jego ciała, jak i duszy.

W tym celu, mianowicie *dla wyleczenia ciała*, potrzeba przyprowadzić do porządku narzędzia brzuszne, a więc krążenie krwi w wątrobie i żyle wrotnej, oraz sprawę trawienia; co osiąga się: za pomocą obfitego picia wody (zwłaszcza gorącej), stosownych ćwiczeń gimnastycznych (a głównie takich, przy których brzuch ulega natężeniu, jak np. gra w kręgle, rąbanie i tarcie drzewa, zatrudnienia ogrodnicze, bieganie, jazda konna, pływanie, polowanie, ślizganie się na łyżwach i t. d.). Dalej, za pomocą głębokiego, mocnego oddychania najlepiej na świeżem powietrzu; za pomocą częstego ugniatania, uciskania i tarcia brzucha, przyspieszenia wypróżnień przez użycie letniej wody (nie zaś środków przeczyszczających, gdyż te rujnują tylko żołądek i kiszki cienkie), umiarkowania i prostoty w pokarmach oraz napojach, a więc przez użycie łatwostrawnych, niepobudzających lecz pożywnych potraw (szczególniej mięsnych).

Leczenie duchowe (psychiczne) wymaga przedewszystkiem zbudzenia w hipohondryku zaufania we własne jego siły, podniecenia w nim energii woli i odwagi życia, tak, ażeby stopniowo nauczył się panować nad chorobowemi swemi uczuciami i drażliwością; ażeby wstydził się użalać na swe dolegliwości i żądać politowania; ażeby wreszcie wziął się z ochotą do jakiej pożytecznej pracy. Korzystne są także: rozrywki, podróże, zmiana miejscowości i otoczenia, zmiana sposobu życia (np. długiego przesiadywania, zajęć umysłowych, stanu bezżennego, samotności, czuwania do późnej nocy i t. d.). Nie mniej należy unikać rozpusty wszelkiego rodzaju i długiego snu, zwłaszcza nad ranem.

Środki apteczne są zupełnie bezużyteczne w obec hipohondryi.

Niech jednak czytelnik nie sądzi, że z powyższego opisu hipohondryi, zdolny będzie pojąć zupełnie tę chorobę oraz jej przyczyny; często bowiem, wskazane tutaj zjawiska chorobowe zależą od rzeczywistych zmian w narzędziach wewnętrznych, rozpoznać które może tylko wykształcony lekarz, za pomocą dokładnego zbadania ciała chorego.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

Epoka przechodnia.

Po straszliwych przewrotach epoki pierwotnej, po kataklizmach w państwie mineralnem, przyroda zdawała się odzyskiwać ciszę, w której zaczęły się wytwarzać pierwsze zarodki życia. W czasie epoki pierwotnej, żadne jestestwo nie mogło przejawić się na ziemi, gdyż temperatura jej była zbyt wysoką. Kolebkę świata osłaniały ciemności nocy tajemniczej, nieprzenikliwej. Atmosfera w rzeczy samej była naówczas tak przesyconą wyziewami wszelakiej natury, że promienie słoneczne nie mogły się przez nią przedzierać. Na ziemi rozpalonej, osłoniętej ciemnościami, nie mogło zakiełkować życie. Żadna też roślina, żaden zwierz nie istniał naówczas, z tego też względu osady łożysk morskich z owej epoki, nie zawierają w sobie szczątków kopalnych.

Wszelako nasza planeta oziębiała się ciągle, a z drugiej strony nieustanne deszcze oczyszczały jej atmosferę. Stąd też przyszła chwila, w której promienie słońca mniej powstrzymywane przez powietrze, zdołały przedrzeć się do jej powierzchni. Za ich wpływem zrodziły się pierwsze organizmy. „Bez światła, powiedział niegdyś Lavoisier, natura byłaby martwą. Bóg niosąc światło rozkrzewił na ziemi życie, myśl i uczucie.“ Wkrótce zapoznamy się z pierwotnemi jestestwami naszej planety, poczętemi wówczas, gdy jej temperatura nie rożniła się prawie od dziś istniejącej pod równikiem. Po tych tworach wystąpią inne wyższego rzędu, drogą powolnych rozwojów, a w ostatku przejawi się człowiek, przyszły władca świata.

Słowo *postęp* wymówił Stwórca wówczas, gdy zrodził się na ziemi pierwszy organizm obdarzony życiem.

Wszystkie dane wiedzy dzisiejszej skłaniają nas do przypuszczenia, że rośliny pierwej ukazały się na ziemi niż zwierzęta.—Wprawdzie w osadach mórz pierwotnych, w łupkach szarogłazowych i wapieniach brunatnych, znajdujemy szczątki tak roślin jak i zwierząt—wszelako po większej części w epoce przechodniej, a mianowicie w okresie węglowym, roślin napotykamy mnóstwo, zwierząt zaś przejawia się wcale niewiele. Świat roślinny zatem był poprzednikiem zwierzęcego. Zresztą wątła tkanka komórkowa roślin, łatwo ulegała zepsuciu, stąd wiele ich gatunków pochodzących z owych prastarych czasów, nie pozostawiło po sobie żadnego śladu.



fig. 6. Obraz ziemi w epoce sylurycznej.

Życie poczęło się najpierw w morzach. W rzeczy samej nie należy zapominać, że w pierwotnych czasach istnienia naszej planety, wody pokrywały większą część jej powierzchni. W oceanie zatem pierwej niż na lądzie, życie przejawiać się poczęło, a to prawdopodobnie z zarodzi (protoplasma) pływającej po rozległej powierzchni wód, co nastąpiło w chwili, gdy też wody w odpowiednim stopniu oziębione zostały. Najstarożytniejsze szczątki organiczne tej epoki, należą do mięczaków bezgłowych zwanych ramionowcami (brachiopoda) i skorupiaków z rodzaju trylobitów sylurycznych, czyli stonogów wodnych. Po nich wystąpiły na widownię życia, mięczaki skoruponośne z rzędu głowopławów (cephalopoda), tudzież mięczaki z rodzaju przewiertki (terebratula) i *productus*. Polipy w nieprzerwanym łańcuchu przetrwały aż do dni naszych.

W tymże czasie ukazały się rośliny wodne niższego rzędu, których wyciski znachodzimy dziś na łupkach—takiemi są wodorosty (algae). Gdy lądy więcej wyłoniły się z fal morskich, ziemia wydała gatunki roślinne wyższego rzędu, jako to: skrzypy i paprocie trawiaste.

Rozpatrzymy się w tej florze bliżej w okresach składających epokę przechodnią, a mianowicie w sylurycznym, dewońskim i węglowym.

Okres Syluryczny.

Pierwszy okres epoki przechodniej nazwali geologowie *Sylurycznym*. Wypada nam objaśnić czytelnikowi pochodzenie tej nazwy. Nomenklatura, czyli język naukowy w geologii, nie zawsze zaleca się ścisłością. Najczęściej warstwy i okresy geologiczne, noszą nazwy pochodnie od miejscowości w jakich też warstwy przeważnie występywały, lub w których je najpierwej badano. Naturalista angielski Murchison, nazwał okres jaki mamy rozpatrywać, *sylurycznym*, dla tego tylko, że pokłady wytworzone z osadów morskich w ciągu tego okresu, stanowią rozległy płat w Shropshire w Anglii—to jest w krainie niegdyś zamieszkiwanej przez *Sylurów*, lud celtycki, który walczył mężnie z Rzymianami w czasie wtargnięcia ich legii do Wielkiej Brytanii. Zapewne czytelnik znajdzie tworzenie taką drogą terminów, nielogicznem i dziwacznem, cokolwiekbądź, niepodobna nam zmieniać terminologii geologicznej, przystępujemy zatem do dziejów okresu sylurycznego.

Drzeworyt oznaczony N. 6, przedstawia nam obraz ziemi w okresie sylurycznym. Widzimy w nim rozległe, lecz niewielkiej głębokości morza, z łona których tu i ówdzie występują skały porosłe wodorostami, zwiedzane przez mięczaki i zwierzęta stawowate rozmaitych gatunków. Blade promienie słońca, z trudnością przedzierają się przez gęstą i ciężką atmosferę świata pierwotnego, i obrzucają światłem pierwsze jego jestestwa, będące przeważnie organizmami zaczątkowemi. Niektórych tylko organizmów ustrój, wskazuje pewien wyższy rozwój.

Okres syluryczny, do którego nie wliczamy warstw formacyi kambryjskiej, dzieli się na dwa podokresy, to jest: pokładów dolnych i wierzchnich.

W czasie *podokresu sylurycznego dolnego*, przejawiły się na ziemi pierwsze rośliny i pierwsze zwierzęta [1]). Warstwy ziemne pochodzące z tego pierwszego okresu sylurycznego, zawierają w swem łonie mnóstwo szczątków zwierząt rozmaitych gatunków, co dowodzi, że morza były już zapełnione jestestwami w nich przebywającemi. W najniższych pokładach znachodzimy pierwsze zwierzęta starożytnego świata, a mianowicie mięczaki bezgłowe zwane ramionowcami (brachiopoda), których gatunki żyją dziś jeszcze w naszych morzach. W warstwach następnych zwanych *Landeilo*, napotykamy innego rodzaju kształty zwierzęce. W dalszych pokładach syluru, liczymy w ogóle przeszło trzydzieści odmiennych ustrojów organicznych. Są to formy przechodnie, przejściowe, które już dalej nie przejawiają się. Faunę tę składają głównie zwierzokrzewy, zwierzęta stawowate i mięczaki. Kręgowce reprezentowane są zaledwie przez nieliczne ryby.

Gromada skorupiaków do której dziś należy Homar (Astacus marinus), Krewetka (Palaemon squilla), Krab (Carcinus moenas), występywała wówczas najwybitniej w stanie że tak powiemy, zaczątkowym, rudymentarnym. Kształty tych skorupiaków były najosobliwsze i całkiem różne od właściwych jestestw om tego rodzaju, dziś istniejącym. Największa ich część należała do rodziny tak zwanych *trylobitów*, obecnie całkiem już znikłych z powierzchni ziemi, o których ustroju mogą nam dawać pewne wyobrażenie stonogi wodne.

	Gromady	*Przykłady rodzajów*
1-y Dział kręgowych	Ssące czyli Ssaki	Człowiek, Małpa, Pies, Koń, Wieloryb
	Ptaki	Orzeł, Wróbel, Kura, Struś, Kaczka
	Płazy	Żółw, Jaszczurka, Wąż
	Skrzeki	Żaba, Salamandra, Proteusz, bladek
	Ryby	Okuń, Karp, Węgórz, Raja, Rekin
2-gi Dział obrączkowych	Owady	Chrabąszcz, Szarańcza, Pszczoła, Motyl, Mucha
	Krocionóżki	Skolopendra, Julus
	Pająki	Pająk, Niedźwiadek, Kosarz, Kleszczotka
	Skorupiaki	Krab, Krewetka, Biernatek, Wąsonóg
	Pierścienice	Nereida, Rurówka, Glista ziemna, Pijawka
	Glisty	Askaryda, Oblina
	Przysadkowate	Sznurak, Wypławka
	Tasiemcowate	Tasiemiec
	Kołowrotki	Wrotek
3-ci Dział mięczaków	Głowonogi	Ośmionóg, Sepia
	Skrzydłopławy	Skrzydłopławka
	Ślimaki	Ślimak, Porcelanka, Banieczka
	Mięczaki bezgłowe (Małże)	Strączak, Ostryga, Perłopław
	Oponnice	Ascydya, Salpa
	Polipy meszkowate	Plumatella, Flustr
4-ty Dział zwierzokrzewów	Żyjątka	Wymoczek, Gąbka
	Polipy	Koral, Meduza
	Jeżokory	Holoturya, Jeżowiec

Trylobity przedstawiały się w postaci puklerza owalnego, złożonego ze stawów. Na członku stawowatym najbardziej naprzód wysuniętym, mieściły się oczy siatkowate, jak to ma dziś miejsce u owadów. Oczy owadów złożone są z regularnych sześciobocznych ścianek, których liczba dochodzi często sześćdziesięciu tysięcy. Są one zakończeniem tyluż ustawionych na siatkowce stożków, podobnych do komórek plastrów pszczolich, a każdy taki stożek uzdolnionym jest do przyjmowania całkowitych obrazów.

Przed oczyma trybolita mieściła się szczęka, nogi jego prawdopodobnie były liczne i mięsiste, lecz nie dotrwały do naszych czasów. wiele gatunków trylobitów mogło się zwijać w kłębek, jak nasze stonogi, pływały zaś po wodzie na grzbiecie. Jestestwa te zamieszkiwały na mieliznach, zdala od pobrzeży morskich i składały liczne rodziny.

Głównemi przedstawicielami trylobitów sylurycznych są: *Ogygia Guetardi*, *Trinucleus Pongerardi Paradoxides spinulosus*, *Nereites cumbriensis* i t. d.

Z mięczaków głowonogich żyły w owym czasie: skoruponośny zwany *Lituites cornuarietis*, i *Gyroceras*. Z brzuchopełzów *Bellerophon* pełzał opierając się na mięśni, umieszczonej pod brzuchem.

Z mięczaków bezgłowych dwuskorupnych pozbawionych ruchu, których typem jest ostryga, istniał wówczas rodzaj *Orthonota*, oraz inne należące do ramionowców (brachiopoda) i polipów meszkowatych (bryozoa)—Ze zwierzokrzewów wypada zaznaczyć rodzaj *Hemicosmites*, a mianowicie gatunek *Hemicosmites pyriformis*. Morza owoczesne obejmowały rośliny wodne niższego ustroju, z rodzaju morszczyn (fucoideae).

Warstwy syluryczne dolne, istnieją we Francyi a mianowicie w Langwedocyi, w okolicach Neffiez i Bédarrieux, oraz w Anglii, Czechach, Hiszpanii, Rossyi i Ameryce. Utwory syluryczny, dewoński i permski, cechujące epokę przechodnią, napotykamy w zachodniej a w części i śwrodkowej Rossyi. W płacie ich leżą Archangielsk, St.-Petersburg, Ryga, Smoleńsk i t. d. Wapienie, piaskowce i łupki wchodzą w ich skład mineralogiczny.

W podokresie sylurycznym warstw wierzchnich, morza zawierały niektóre rodzaje ryb, całkiem nieznane w podokresie poprzednim, oraz mnóstwo trylobitów, które dosięgnęły wtedy najwyższego stopnia rozwoju, jako to: *Calymene Blumenbachii i Phragmoceras*. Z ramionowców przejawiły się *Pentamerus Knightii* i *Orthis rustica*—z polipów *Halysites labyrinthica*. Dwa rodzaje skorupiaków wielce dziwacznego kształtu, całkiem odmiennego ustroju od trylobitów, znaleziono w warstwach sylurycznych Ameryki i Anglii. Jeden z nich nosi nazwę zoologiczną *Pterygotus bilobus*, drugi *Eurypterus remipes*. Prawdopodobnie żyły one w wodach słodkich. Trylobity po większej części, jak już wspomnieliśmy wyżej, mogły zwijać się w kabłąk jak dzisiejsze stonogi wodne, co czyniły w celu zabezpieczenia się od napaści nieprzyjaciela.

W końcu okresu sylurycznego, morza były już zapełnione różnorodnemi i licznemi tworami, czego dowodzi 1,500 dziś znanych ga-

[1]) Ze względu, że w niniejszej pracy często powoływać się będziemy na działy, gromady i rodzaje zwierząt, wypada nam przedstawić czytelnikowi obraz synoptyczny tej klasyfikacyi. Każdy z nas umie odróżnić zwierzę ssące od ptaka, płaza lub ryby, lecz nie każdy wie w jakiej gromadzie zoologicznej mieści się niedźwiadek, polip lub pająk. Z tego też względu podajemy tu klasyfikacyę Milne Edwardsa, obejmującą cztery działy, złożone z dwudziestu pięciu gromad, które objaśniamy przytoczeniem kilku rodzajów zwierzęcych.

tunków roślinnych i zwierzęcych. — W warstwach do tegoż czasu odnoszących się, znachodzimy niemniej niektóre gatunki wodorostów z rodzaju morszczyn.

Pokłady syluryczne napotykamy we Francyi w departamentach La Manche, Calvados, Sarthe i t. d., w Anglii, Hiszpanii, Niemczech, (pobrzeża Renu), Rossyi, Norwegii, a przeważnie w Czechach, zwłaszcza też w okolicach Pragi. W Szwecyi cała wyspa Gottland wytworzoną jest z warstw sylurycznych, na które również natrafiamy w Ameryce, a mianowicie w pobliżu Nowego Yorku.

Dodać winniśmy dla scharakteryzowania warstw sylurycznych, że ze wszech pokładów, są one najwięcej rozrzucone; przedstawiają się jakby szmaty tu i owdzie przechowane—jako szczątki, które uniknęły wybuchów materyi płynnych, rozdzierających w czasach pierwotnych powierzchnię ziemi.

Warstwy syluryczne pierwotnie poziome, bywają często połamane, pogięte, pofałdowane, niekiedy nawet pionowe, jak to ma miejsce naprzykład w kopalniach łupku w Angers. Alcyd Orbigny w Andach amerykańskich wykrył warstwy syluryczne, obejmujące skamieniałości w wyżynie 17,400 stóp pols. nad poziomem morza. Jakże potężnem musiało być wydźwignięcie się ziemi, które wyniosło ciała kopalne z obejmującemi je pokładami do tak kolosalnej wysokości!

W okresie sylurycznym, morza zalewały jeszcze ziemię prawie w zupełności i zajmowały większą część Europy. Cały rozległy płat od Hiszpanii aż do gór Uralskich, pozostawał pod wodą. Francyę reprezentowały wówczas dwie wyspy wychylające, się z łona wód—z tych jednę tworzyły warstwy granitowe dzisiejszej Bretanii i Wandei, drugą formowało wielkie płaskowzgórze środkowe, z tychże warstw złożone. Część północnej Norwegii, Szwecyi i Laponii ruskiej, tworzyła ląd rozległy. W Ameryce ziemie z wód wyłonione, były jeszcze liczniejszemi. W północnej Ameryce jedna wyspa rozciągała się od 50—68 stopnia szerokości, a to w części noszącej dziś nazwę *Nowej Brytanii*. Inną wyspę na Oceanie Spokojnym, tworzyły pobrzeża Stanów Zjednoczonych—zajmowała ona przestrzeń zawartą między 32—52 stopniem szerokości i stanowiła dzisiejszą Kalifornię, Utah i Oregon. W Ameryce południowej, na Oceanie Spokojnym, Chili formowało wyspę podłużną. Na Antlantyku część Brazylii leżąca pomiędzy 10 a 30 stopniem szerokości, wznosiła się ponad powierzchnię wód. Wreszcie w okolicy równika, Gujana tworzyła ostatnią wysepkę na rozległem morzu, zalewającem wszystkie inne części świata.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Zurich 20 stycznia 1876 r.

„Le profit de l'un est le dommage de l'autre“ głosi stare prawo charakteryzujące stan stosunków towarzyskich czasów ubiegłych i współczesnych. Zysk jednego wyradza krzywdę drugiego i nie może być inaczej, gdy brak wspólności w interesach, solidarności w celach ogólnych.

W czasach nowszych prawo to nabrało doniosłości tak wielkiej, iż niepodobna odszukać jednego by najmniejszego działu życia, w którymby skutki jego nie wypowiadały się w barwach mniej lub więcej jaskrawych.

Sprawa to zawiła zabardzo, żeby ją można dobrze objaśnić; postaram się jednak jak można najtreściwiej wykazać, jakie cechy nadała ona niektórym stosunkom towarzyskim, mianowicie społeczno-ekonomicznym, a w taki sposób rozświetlę wybitniejsze strony przemysłu i handlu nowoczesnego, który jak w całej Europie, tak i tu w Szwajcaryi podlega prawom ścisłym, jeszcze niezupełnie znanym, ale po większej części zbadanym w objawach i, że się tak wyrażę, zakonstatowanym w życiu.

Tam gdzie jednostka (choćby cała rodzina) pracuje na własne utrzymanie, nie zbywając wyrobów swojej pracy, i nie nabywając cudzych, co się już bardzo rzadko w świecie ucywilizowanym spotyka, tam wszystkie objawy życia ekonomicznego są jasne i proste. Gdzie jednak wiele jednostek pracuje razem dla przemiany wyrobów swych na cudze i to za pomocą przełożenia jak jednych tak drugich na pewną stałą wartość pieniężną, gdzie praca musi być niezbędnie zbiorową, gdzie narzędzia do pracy są zbyt kosztowne, żeby mogły należeć do niezamożnego człowieka. gdzie innemi słowy przemysł istnieje tylko w formie kapitalistycznej, gdzie w skutek tego praca jest najemną, tam obraz życia handlowego i przemysłowego będzie zupełnie nie zrozumiałym, bez poprzedniego rozpoznania główniejszych czynników i niektórych praw ekonomicznych tego życia.

Że zaś Szwajcarya przedstawia zmniejszony obraz stosunków ogólnych w krajach zachodnich, więc wprzód nim rozpocznę moje sprawozdanie, pozwolę sobie zrobić kilka ogólnych uwag.

Dwa pierwsze i główne czynniki w ekonomii politycznej, to kapitał i praca. Przeróżne kombinacye tych dwu sił łącznie z potężną ilością względów i stosunków towarzyskich, politycznych, kulturalnych i intellektualnych, nadających kapitałowi przymioty i własności czynne kierujące pracę w pewne utarte formy, mogą być jednakże sprowadzone do dwóch głównych działów, do dwu partyj, na jakie się dzieli obecnie w tej kwestyi tłum jednostek pośrednio lub bezpośrednio zainteresowanych, tłum, któremu na imię—ludzkość.

Głównym motorem działalności ludzkiej, jest niezaprzeczenie dążność ku polepszeniu swego dobrobytu. To też ta dążność zwykle jest przyjmowaną w nauce ścisłej za początek czyli źródło wszelkiej towarzyskości. Polityka, prawo są tylko zewnętrznemi niejako objawami skutków tej dążności, warunkującemi po części jej bieg, o tyle o ile naprzykład dyscyplina wojskowa warunkuje siłę armii.

Ta wrodzona człowiekowi dążność rozumnego zużytkowania swych sił, w celu pozyskania dobrobytu, z biegiem historyi, napotyka na drodze zasadę osobistej własności, i jako konsekwencyę tej ostatniej warunkowanej nierównym rozwojem jednostek, zasadę kapitału w jego obecnych formach. Odtąd praca jest zależną od kapitału jak matka od syna (używając dobitnego porównania) co go wyhodowała i wykarmiła. Ale że syn trafił do towarzystwa nienajlepszych ludzi, więc zdarza się, że krzywdzi biedną matkę.

Jeżeli określimy kapitał jako „zaoszczędzony zbiór materyałów, potrzebnych dla produkcyi, wypożyczony przez właściciela producentom na warunkach podziału korzyści między właścicielem i producentami,“ [1]) stanie się widocznem, że kto nie jest właścicielem tego niezbędnego zbioru, ten nie może być panem wyrobów swej pracy.

Od czasu jak w głowach ludzkich wyjaśniły się mniej więcej role pracy i kapitału, uwidoczniły się wzajemne stosunki pracowników i kapitalistów, od tego czasu wszelkie inne kwestye odeszły na drugi plan, a główny motor działalności ludowej wziął nad wszystkiem górę i na widowni, świata pierwsze miejsce zajęła walka matki z synem — pracy z kapitałem. Można powiedzieć, że w tej walce cała a przynajmniej więcej ucywilizowana ludzkość, rozdzieliła się na dwa obozy: jeden broniący statu quo, dowodzący praw kapitału na wyroby pracy, praw procentowania kapitału jako czynnego z istoty swojej; drugi dowodzący, że kapitał jako produkt pracy winien też należeć do niej, nie ma praw nad nią i że jedyną rozumną z istoty swojej i sprawiedliwą rzeczą, jest praca samoistna dla własnej korzyści, bez żadnego podziału, ukonstytuowana jako jedyna dźwignia towarzyska.

Jak w jednym, tak w drugim obozie znajdzie się jeszcze wielka ilość odcieni, stopni, wyjątkowych kierunków, lecz tu ani czas, ani miejsce do wyliczania ich. Który z obozów ma większą racyę, zostawiam to do wolnej decyzyi każdego, bo zdanie moje nie poparte jednocześnie przez ścisłe dowody, mogłoby się wydac bezzasadnem. Niezaprzeczenie jednak, że racya jest po stronie, mającej za sobą ścisłą naukę, dającą poznać istotę rzeczy zbliska i gruntownie, a chociaż według Kanta (w jego „Krytyce rozumu“) istota rzeczy nie może byc przez nas poznaną, to jednak ścisły rozbiór potrzebnej ilości objawów zewnętrznych, przystępnych, dla nas, daje nam poznać najbliżej prawdę. Tam to też miejsce szukać odpowiedzi na powyższe zapytanie.

Nie mówiąc jednak o racyi po tej lub owej stronie, zauważywszy że świat przemysłu i handlu trzymający się praw kapitału, praw konkurencyi nieograniczonej, praw spekulacyi na przyjazny zbieg okoliczności, w skutek swojego charakteru, w skutek przerozmaitych stosunków finansowych, wpływów giełdowych i t. p. pociąga często za sobą na drogę ryzykownych spekulacyj i nie przyjmujących w nich udziału producentów, wystawiając na skutki każdego ryzyko, bezrobocie przy stagnacyi handlowej, kryzach finansowych, zmniejszenie zarobku i ostateczną ruinę; zauważmy dalej, że każde mniej więcej znaczne wzbogacenie się jakiegokolwiekbądź przed-

---

[1]) Chociaż są bardziej naukowe i ściśle okresy kapitału, używam tego jako lepiej odpowiadającego warunkom ściśłości i popularności razem.

siębiercy, niszcząc przez konkurencyą współzawodników na temże polu, doprowadza znowuż producentów prześcignionych do nędzy; zauważmy, nakoniec, że przytem wszystkiem istnieje jeszcze tak zwane w ekonomii politycznej „prawo żelazne,“ ustanawiające normę zarobku mniej lub więcej niezbędną cenę wyżywienia się zarobkującego przy nawyknieniach życiowych danej miejscowości, a wtedy przytoczone przezemnie, prawo o zysku opartym na „le profit de l'un est le dommage de l'autre“ przybierze barwę prawdziwości.

Lecz nie o to mi głównie tutaj chodzi, żeby poprzeć to prawo. Walka, o której mówiłem powołała do życia ogrom pomocniczych czynników, trącających o wychowanie, o hygienę życia domowego, o tworzenie spółek, stowarzyszeń spożywczych, o dziennikarstwo i całą litaniję tych kwestyj, przeto żeby dokładnie pojąć ruch przemysłowy i handlowy w całej ich doniosłości, trzeba mieć zawsze na względzie, jak toczącą się walkę tych dwu obozów, tak główne prawa ekonomiczne wynikające bezpośrednio ze ścisłego określenia pojęć o kapitale, pracy, wymianie, konkurencyi, zarobkowaniu i t. p. Niezrozumiałym będzie, naprzykład, wpływ niezobowiązania przymusowego rodziców do posyłania dzieci do szkoły na stan przemysłu, jeżeli nie rozpatrzymy się wprzódy w głównych prawach przemysłu nowoczesnego. Nie mogłem zająć się tem szczegółowiej dla samego charakteru listów moich, lecz z kilku zrobionych uwag nie trudno wyprowadzić stosowne wnioski. Zamierzam przytem o ile to będzie możebnem, wracać przy sprawozdaniach moich do tych kwestyj, dla niektórych pobieżnych wyjaśnień.

Alem się zagadał i przedmiot listów moich Szwajcarya, czyli też mianowicie Zurych nie został jeszcze zagabnięty. Wracam też do niego i jego nieruchomych mieszkańców, żeby zobaczyć czego też potrafili dokonać ci powolni i nieruchawi ludzie (tępi nawet przy pierwszem obejrzeniu) w ich pięknej, ale niewdzięcznej dla pracy i skalistej krainie.

Położona między wielu silnemi mocarstwy ościennemi, jak Francyą, Włochami, Austryą, królestwami i księstwami niemieckiemi, na kilku pasmach górskich, w kilkunastu dolinach pomiędzy ogromem jezior i skał dzikich, często niedostępnych, na przestrzeni ośmiuset kilkudziesięciu mil kwadratowych, złożona z kilku narodowości (Niemców, Francuzów, Włochów i tak zwanych Romanów), Szwajcarya miała przed sobą nie lada kwestyę do rozwiązania. Utrzymać się najpierw przy samoistności politycznej, wywalczyć u natury środki do utrzymania się—i związać w nierozerwaną całość te kilka różnych żywiołów narodowych, taką była pierwotna idea związku szwajcarskiego, którą też Helweci dość szczęśliwie urzeczywistnili w życiu. Mają obecnie byt polityczny bezpośrednio niezależny od nikogo, stanowią tak jednolitą całość, o jaką trudno w narodzie jednego pochodzenia i środki utrzymania się materyalnego Szwajcarów, chociaż nie wyrównają en masse, innym więcej obdarowanym od natury krajom, pozwalają im jednak dawać sobie jako tako radę. Przemysł gospodarsko-rolniczy, rozumiejąc tu gospodarstwo polne i łączne (rozumie się miniaturowe), ogrodnictwo, chów bydła, wyrób serów, piwnice etc., przemysł rzemieślniczy czyli rękodzielniczy a głównie handel i przemysł fabryczny — oto główne podstawy bytu ekonomicznego Szwajcaryi.

Do tego dodać muszę jeszcze jednę gałęź zarobkowania Szwajcarów: ciągnięcie zysków z przyjeżdżających tu cudzoziemców, co stanowi nieostatni artykuł dochodów dla wielu miast, miasteczek i wiosek, a w niektórych szczególnie uprzywilejowanych miejscowościach, (brzegi jeziora Luzernskiego, lac des quatres Cantons, brzegi jeziora Genewskiego, jak Montreux, Clarens etc.), prawie jedyny środek utrzymania się przy życiu.

Przyjeżdżający tu w wielkiej ilości cudzoziemcy, podtrzymują też po części przemysł jak i handel miejscowy, nie dla tego żeby wyroby tutejsze miały być lepsze i tańsze, ale więcej z racyi długiego tu pobytu a potroszę przez chęć wywiezienia souvenirów z pięknej krainy Helwetów. Nie ma też miasta w Szwajcaryi, coby nie przytuliło (za pieniądze) kilkunastu, kilkudziesięciu, a często kilku tysięcy cudzoziemców.

Nie idzie atoli zatem, żeby Szwajcarowie zapominali o więcej bezpośredniem zużytkowaniu sił własnych. Jak mówiłem, przemysł fabryczny znacznie tu rozwinięty. Znanym jest charakter tego przemysłu w czasach nowoczesnych, kiedy szalona konkurencya handlowa, obliczająca głównie na taniość wyrobów, zmusza współubiegających się na ogólnym rynku handlowym do wkładania jak można większych kapitałów w przedsiębiorstwo, do zjednoczenia największej ilości najtańszego robotnika, do podziału pracy na najdrobniejsze części; przeto łatwem jest do zrozumienia, dla czego każdy kraj przemysłowy obfitować musi w miasta, a czem większem się miasto staje, tem bardziej wzrasta w niem siła przyciągająca, szczególniej gdzie byt mieszkańców wsi nie jest zadawalniającym.

Z tych to powodów większa część ludności szwajcarskiej zbiera się w miastach i miasteczkach, a jeżeli zbyt wielkich miast tu nie znaleść, to z przyczyny małych bogactw krajowych naturalnych, co nie otwiera drogi dla jakiejkolwiekbądź gałęzi kolosalnego przemysłu, dalej z przyczyny braku linii brzegowej morskiej, coby wynagradzała pierwsze uchybienie natury, nakoniec przyczynia się do tego ustrój polityczny Szwajcaryi, podzielonej na dwadzieścia dwa, można powiedzieć, osobnych państewek pod względem samorządu wewnętrznego; jeszcze dodać by można w związku z pierwszą przyczyną, brak hypoteki krajowej dla rozwoju kredytowego.

Największe zatem miasto Szwajcaryi, Genewa, nie ma więcej nad 50 tysięcy, a Zurych piąte z kolei (Genewa 50, Bazylea 46, Bern 38, Lozanna 30) ma niespełna 30 tysięcy mieszkańców, nie licząc w to gmin przedmiejskich. d. n.

Z gubernii Kowieńskiej, w styczniu 1876 r.

Ze wszystkich zakątków kraju odzywają się głosy, zawiadamiające ciekawą publiczność o objawach swego życia, o nas tylko nic słychać nie było, dopóki nie rozeszła się wieść o zeszłorocznej wystawie rolniczej w Szawlach... Wtedy dopiero poczęto, tam i ówdzie, wspominać w waszych pismach o owej wystawie i, naturalnie, o kraju popisującym się swemi produktami. Pojawiło się nawet opisanie owej wystawy, z dołączonemi illustracyami w pismach illustrowanych, lecz na tem i koniec!...

A przecież kraj ten nie mało posiada ludności, tyle pism peryodycznych i książek corocznie sprowadza się doń z Warszawy i miast innych? Jakaż więc tego milczenia przyczyna? Oto, nie mamy czem się chlubić, a mówiąc prawdę, obawiamy się „narazić“ naszym współobywatelom! Oj ta bojaźń narażenia się! Ona to jest u nas hamulcem wykonania wszelkich świetnych pomysłów i zamiarów! Ona to zmusza tolerować u obywateli ich występki, i zabijać w kolebce wszelkie szlachetne pomysły.....

Ktoś wniesie, między przyjaciołmi, projekt założenia szpitalu dla włościan, utworzenia kassy oszczędności lub biblioteczki, zbierania składek na korzyść kształcących się niemajętnych dzieci włościańskich: „Tak, tak, odpowiadają, lecz jak tu narzucać się komuś z podobnemi projektami, wszak każden może się za to obrazić, iż nie jemu zostawiono pierwszeństwo w podaniu myśli?..“ Mamy jednak u siebie towarzystwo opieki nad zwierzętami z dość sporą kasą, mieliśmy nawet niedawno wystawę narzędzi rolniczych, uprzęży i chlewów z ulepszeniami takiemi, aby to przynosiło wygodę i ulgę biednym stworzeniom, zmuszonym dla nas pracować! Każden z nas prawie jest członkiem tego towarzystwa i wnosi corocznie pewną sumę do kassy. Ale to co innego! Tu wniósł projekt pan X. — który, mówiąc nawiasem, trzyma u siebie weterynarza i ma szpital dla bydła, a więc potrzebuje podtrzymania ze strony obywatelstwa tej chwalebnej instytucyi! Wreszcie co się tycze koni, to już nasza słaba żyłka. Hodowla ich i handel niemi, to nasze jedyne zamiłowanie? Nieraz poświęcamy ważniejsze części gospodarki dla hodowli koni, dla jeżdżenia z niemi na jarmarki..... Mamy nawet co rok wystawę koni w naszem powiatowem mieście, i to ma się rozumieć wierzchowych lub zaprzęgowych, nie zaś roboczych! Za to jeździmy z „szykiem,“ i za pomocą tego nieraz naprawiamy rujnujące się interesa majątkowe, zdobywając serce bogatych dziedziczek, zamiłowanych w ślicznych koniach i eleganckich pojazdach! Trzeba przyznać, iż synowie nasi prześcigają nas w zdolności pod tym względem; to też nie wmawiamy w nich potrzeby kształcenia się w szkołach lub uniwersytetach! Dobrze jeśli z nich który skończy dwie, trzy klasy gimnazyalne, znajomość rachunku i początków języków zawsze się przyda!

A szyk lubimy we wszystkiem: szykowne ubiory, szykowne postawy i szykowne nazwiska! Biada człowiekowi z niepoczesną figurką, któryby się ośmielił pojawić na naszych obywatelskich salonach w niemodnym kostiumie i przedstawić się z nazwiskiem jakimś „impertynenckiem,“ kończącem się na *us* lub *is!* Niechybnie przedstawiając go gościom,

przekręcimy jego nazwisko i zatytułujemy „figurą.“ Dlatego też my się nie chlubimy naszem życiem bo czujemy, iż minionych czasów jeszcze zapomnieć nie możemy, gdy wy wciąż o postępie rozprawiacie! Chociaż lud wyzwolony z poddaństwa, dzięki jednak jego ciemnocie i religijnemu fanatyzmowi, korzystamy z niego gdzie i jak możemy! Czyż mielibyśmy przykładać starania do jego oświaty na naszę niekorzyść?

W przyszłej korespondencyi postaram się zebrać nieco faktów, potwierdzających dzisiejsze zaznaczenia moje, jako też równie faktów świadczących o istnieniu wyjątków z tego ogólnego zarysu!

Szymon Rossieński.

ZA SZCZĘŚCIEM.

(NOWELLA)

przez

P. Heysego.

(Dalszy ciąg).

— Lepiej mi, dziękuję panu. Ale nie rób sobie żadnych wyrzutów; lżej mi będzie na sercu, że raz pierwszy po latach tylu powtórzyć mogę przed kim moje przygody, gdy je dotąd sama sobie wypowiadałam, dochodząc prawie do utraty rozumu. Jestto raz pierwszy i ostatni. Bo i kogóż może to obchodzić? Wszak nie mam nikogo, coby mu zależało na tem, czy jestem lub nie na świecie.

— Nie mów tak, Magdaleno, przerwał jej. Cóżeś takiego uczyniła, aby postradać szacunek i miłość ludzką? Czy sądzisz w samej rzeczy, iż gdybyś inaczej postąpiła.....

— Wysłuchaj mnie pan do końca, rzekła smutnie pochyliwszy głowę. Najcięższa rzecz jeszcze została. Wszakżem to przecierpiała i zniosła, dla czegóżbym nie miała dosyć siły wypowiedzieć tego? Lecz nie mogę przytem się zatrzymywać. Niekiedy jak się zamyślę o owej nocy, gdy czuwając i płacząc w łóżku leżałam i marzłam i zrywałam się na każdy szelest, czy nie powraca i nie zapuka znowu — o wtedy, choćby mnie to życie kosztować miało, wtedy z pewnościąbym mu otworzyła — a tymczasem spoglądam jak na dworze coraz mocniej śnieg pada i coraz straszniejsza powstaje zawieja, którą sądziłam, że czuję w mojem łóżku; gdy sobie to wszystko uprzytomnię: to czuję tu w koło serca jakiś lodowaty ciężar, coraz zimniejszy, cięższy i cięższy, tak iż muszę zerwać się i znużyć jaką ciężką pracą, aby tam wewnątrz trochę odtajało, i krew znów po żyłach krążyć mogła.

Gdyż wciąż słyszę, jak szaleje zamieć śnieżna i wciąż sobie powtarzać muszę: twoja to wina, jeśli ona zaskoczy człowieka, który dla ciebie wśród zimna i nocy puścił się na koniu, aby ci powiedzieć, że kocha cię nad wszystko w świecie, i gdybyś go była nie odepchnęła, to oczy twoje terazby go oglądały i ręce twoje ściskały, kiedy zaś to znów nastąpi, któż to wie..., a tymczasem na dworze wicher jęczy niby głosy ludzkie, ptak nocny zachuczy złowieszczo, gałęzie w parku łamią się pod ciężarem śniegu, a przy każdym odgłosie zrywam się i mówię sobie: To on! ach to połowa wieczności, a tu coraz bardziej się ściemnia.... w tem rzeczywiście coś zastukało, ale nie do moich drzwi, lecz do bramy zamkowej; ciężkie to były uderzenia, jakby stępioną siekierą, nagle ucichło, potem znów..... teraz... serce mi zamarło.... wyraźnie słyszę rżenie konia, w bramę uderzał kopytem. Dlaczego wtedy straszne ogarnęło mnie przeczucie? Czyliż nie mogłam pomyśleć: on wśród drogi namyślił się i powraca do mnie? Ani na chwilę nie przyszło mi to na myśl, czułam tylko nieopisaną trwogę, w ciemności przyodziałam się, i nie zapaliwszy świecy i nie wziąwszy nic na głowę, rzuciłam się na schody, i brnąc po śniegu pobiegłam dziedzińcem do bramy, w którą wciąż uderzały kopyta. Chciałam odsunąć rygle, lecz pokrwawiłam sobie tylko ręce, nie mogąc tego dokonać. Czy myślisz pan, że nie miałam na ustach, aby zawołać na Gastona? Jeśliby zaś nikt nie odpowiedział! rzekł straszliwy głos we mnie. Tymczasem koń zarżał znów parę razy, i zbudził wreszcie ogrodnika, a gdym się jeszcze mocowała, ujrzałam go wychodzącego z latarnią ze swojej izdebki. Nie rzekliśmy do siebie słowa; zapewne myślał to samo, co mi język krępowało. Jednym pociągiem odsunął rygiel i poświecił zewnątrz. A tu stoi biedne drżące zwierze okryte pianą, pomimo burzy zimowej... bez swojego jeźdźca! Jak zarży żałośnie i ani chce się uspokoić na namowy starego, tylko wciąż ogląda się na drogę, jakby nas prosił: chodźcie i zobaczcie, co się stało.... ażem się ze wstydu rumienić musiała przed zwierzem, które tak po ludzku czuło i tyle miało litości nad swoim biednym panem, którego ja odepchnęłam i na śmierć wysłałam.

— Zapewne wpadł w przepaść, rzekł stary. Patrz panna na ten bok padło zwierzę w śniegu. Żeby tylko większe nie przytrafiło się nieszczęście. Zostań panna tu, ja pójdę w dół drogą leśną, wreszcie, może mu będę potrzebny.

— Nie, zawołałam, idę z wami.

Nie upierał się, dał mi tylko jakieś stare okrycie, które zarzucił na mnie, gdyż byłam bez kapelusza i płaszcza. Śnieg przestał trochę padać, i gdyśmy czas jakiś postępowali za koniem, burza całkiem ustała i parę gwiazd pokazało się na niebie. Szliśmy szybko, stary spoglądał na prawo i na lewo w przepaści śniegiem pokryte. I tak szliśmy przez całą może godzinę, nie wymieniwszy z sobą i słowa, naraz zawołał wreszcie: ot tu najgorsze miejsce. Spojrzałam i zrozumiałam go. Był to most drewniany po nad zagłębieniem drogi, gdzie w czasie pory deszczowej woda się zbierała. Koń znów żałośnie zarżał, tak iż musiałam przystanąć, kolana chwiały się podemną, nie mogłam iść dalej. — Panie Gastonie! zawołał stary. Straszne panowało milczenie. Potrzymaj panna konia, rzekł i oddał mi cugle, na dół się opuszczę. Most pokrył się gołoledzią. Zaraz potem usłyszałam jak wołał na mnie z dołu: —Chodź panna, on tu jest, musisz mi pomódz!

Porzuciłam cugle i spuściłam się w głąb'. Przy samym odbłysku śniegu, już na górze rozpoznałam, kto tam leży w dole. Obok jego głowy była ciemna plama na tle białem, jak również ciemne plamy na płaszczu zaśnieżonym. Gdym to zobaczyła, straciłam przytomność, padłszy obok niego na ziemię. Lecz przypominam sobie dobrze, żem znów przyszła do siebie, a ponieważ sama jedna z nim byłam, to wszystko zdało mi się snem. Nie mogłam też ruszyć żadnym członkiem ciała. Wciąż tylko patrzałam w jego twarz; na czerwone plamy na śniegu. Sądziłam, że i na mnie koniec już przyszedł, jeszcze parę kropel krwi było we mnie, niech się te w lód zamienią, a wszystko będzie dobrze, pomyślałam sobie, i z wielkiej boleści nic nie czułam; cicho było we mnie i koło mnie.

W tem dały się znów słyszeć głosy starego i innych ludzi; otrząsnęłam się nagle i zawołałam na nich; gdy oni z małym wózkiem zatrzymali się na górze, próbowałam podnieść Gastona i wtedy dopiero postrzegłam, jakem go trzymała w objęciach że wszelka pomoc jest daremną. Ludzie wynieśli go po spadzistości na górę i złożyli na wózku do którego zaprzężono konia. Byli-to chłopi z poblizkiej wsi, wszyscy go dobrze znali; wzięli z sobą także łaziebnika, będącego zarazem felczerem. Ten zasiadł przy nim na wózku i przez całą drogę nim się zajmował. Ja i inni szliśmy obok. Nikt jednak nie miał serca zapytać się czy odzyskał przytomność. Dopiero, gdyśmy przybyli na dziedziniec zamkowy, zdobyłam się na tę odwagę. — Idź-no panna do łóżka, odrzekł człowiek. Już mu nic nie pomożemy. To tylko jest pocieszającą rzeczą, że długo nie cierpiał. Po krwawym upadku, w parę chwil zapewne, skonał....

Zamknęła oczy, gdy ostatnich słów domawiała. Teraz otworzyła je znów szeroko, i z uśmiechem ponurym spojrzała w około.

— Wszak prawda, rzekła, że to historya, której się przeżyć nie powinno. Jeśli zaś byliśmy tyle silni, czy tyle słabi, żeśmy to przetrwali, sami już sobie przypisać musimy wszystko, co nas po tem bolesnego spotkało. Jaka-to szkoda, iż nie zostajemy wciąż tak nieczuli, jak w pierwszej chwili odurzającego nas ciosu, lecz później dręczymy się i cierpimy tem okropniej. Gdybym pozostała w tym samym stanie, co pierwszych dni po owej nocy, gdy byłam zdrętwiała i skamieniała, to wkrótce doczekałabym się końca. Wówczas, gdyby mnie kłóto rozpalonemi igłami, to może zaledwiebym drgnęła. Czegom ja się nasłuchać musiała, jak około południa matka z córkami powróciła do domu, jak z najobelżywszemi wymysłami wypędzano mnie, jako nierządnicę, która w swoje sieci nieszczęśliwego uwikłała; jako bez serca zabójczynię, która jednej godziny w domu nie może być cierpianą: wszystko to niewiele mnie poruszyło. Nie wyrzekłam ani słowa na moje usprawiedliwienie. Gdybym powiedziała całą prawdę, niktby mi nie uwierzył, a zresztą, cóż mi na tem zależało? Gdyby mnie wszyscy uniewinili, okazałażbym się przez to mniej winną i przywróciłażbym tym sposobem umarłego do życia? Nie mogłam nawet nienawidzić tych biednych ludzi, którzy mnie deptali nogami. Czyliż w samej rzeczy nie pozbawiłam ich najukochańszego, ich dumy i radości?

I cóż mi z tego, że idąc jak żebraczka piechotą, mogłam się w moją cnotę osłonić? Ocaliłam ją i wyszłam bez najmniejszej szkody, a przecież czuję przerażające zimno w głębi serca; przeminęły tygodnie i miesiące, a ja drżąc jednej nocy przespać nie mogłam jak inne dziewczęta w moim wieku.

I tak żyłam czas jakiś z oszczędzonych pieniędzy, i myślałam tylko o tem, aby w ten lub inny sposób raz skończyło się ze mną. Każdego poranku, gdym się zbudziła, powtarzałam sobie: może to już ostatni! Ale trudno uwierzyć, jak życie długo się wlecze. Gdym ostatni pieniądz wydała, musiałam przecież nad tem się zastanowić, jak sobie dalej radzić. W pewnem mieście prowincyonalnem najęłam sobie pokoik u poczciwych ludzi, którzy troskliwie pielęgnowali mnie, gdym u nich ciężko zapadła w chorobę. Potem zaś kobieta, której się radziłam, dostarczyła mi w tym samym domu robotę dla pewnych pań przybyłych z prowincyi, i tylem przemogła na mojem sercu, iż znów, jak niegdyś szyłam i haftowałam. Żeby tylko to się stało! Ale wystaw pan sobie, rok jeszcze nie upłynął, a sama się raz złapałam, żem śpiewać zaczęła przy robocie. Zamilkłam natychmiast i sama siebie przestraszyłam. Czy już tak nisko upadłaś w swej lekkomyślności, pomyślałam sobie, albo też nigdyś go nie kochała? Musiałam przyznać pierwsze, gdyż o drugiem wiedziałam aż nadto dobrze. Ah! tyle we mnie było młodości, a do tego krew mojej matki przemawiała, i rok jeszcze w podobnej samotni i ciasnocie spędziwszy, wciąż jedną myśl miałam w duszy, jak to było przed dziesięciu laty! Ależ nie skończę nigdy.

Tak minęła zima, po niej nastąpiła wiosna, a ze mną wszystko było po dawnemu, alem czuła, że musi być inaczej, albo też zginę w tej śmiertelnej ciszy. Czytałam o pewnych rozbitkach, którzy całą swoją osadę ocalili w łodzi, lecz nie mieli wody, to też w końcu pomarnieli. I ja miałam wszystko: chleb, pracę, dobre imię, młodość, zdrowie, a do tego jeszcze kochaną cnotę.... ale za to ani kropli szczęścia, a pragnęłam go, tęskniłam za nim; że ono mnie raz minęło, mamże zwątpić na zawsze?

W owym czasie pewien krewny moich gospodarzy przybył do nich w odwiedziny; był to grzeczny i skromny człowiek, o którym dawniej już słyszałam, gdy się rozwodzono nad nim z wielkiemi pochwałami. Nie wiem jakie miał interesa w mieście, lecz załatwiwszy się nie wyjeżdżał jednak, zmiarkowałam więc, że to dla mnie zostawał. Nie miałam do niego odrazy, a nadto przywykłam do jego cichych i poważnych zalecanek, ogrzała mnie myśl, jak on był szczęśliwym, gdym się okazała mu życzliwą. Może to najpewniejsza droga do szczęścia, pomyślałam sobie, gdy innych uszczęśliwiamy. Przyznam się nawet panu, że mnie nęciło bezkłopotliwe położenie jakie mi ofiarował, i zapragnęłam wyswobodzić się z mojej jednostajnej codziennej roboty. Gdy na jego piśmienne oświadczenie się ustnie mu dałam przychylną odpowiedź, gdy poczciwiec ze łzami w oczach rzucił mi się do nóg, wtedy uczułam, jak tchnienie życia wzruszyło moją pierś skamieniałą. Ośm dni jeszcze nie minęło, a już było po całej pomyślności. O swoich ze mną zaręczynach doniósł na wszystkie strony, a z listów które w odpowiedzi otrzymał, widziałam, że wszyscy mu życzyli szczęścia. Promieniejąc z radości pokazywał mi je. Wtem nadeszły inne, które widocznie wpłynęły na jego usposobienie. Na moje pytania odpowiadał wymijająco. Gdy wreszcie jako narzeczona zapragnęłam mieć udział w jego troskach, wtedy do tego stopnia okazał się słabym, iż przysłał mi swoją krewnę, a moją gospodynię, która dotąd prawie na rękach mnie nosiła, a teraz nagle z nachmurzoną miną weszła do mnie i zarzuciła oskarżeniami, żem ją w najhaniebniejszy sposób oszukała.—Na szczęście jednak wiadomo kto ja jestem, i dla czego tak spokojnie tu siedzę, żem nikomu wody nie zamąciła, że pragnę jedynie zacnego człowieka swojemi sztuczkami ułowić, któremi już dawniej znakomitych kochanków w przepaść wtrąciłam. Ale jest jeszcze na ziemi niebieska sprawiedliwość, która karze zbrodnię, a cnotę ochrania; dalej następowała długa budująca mowa, która skończyła się na tem, że mój narzeczony domaga się zwrotu swego zaręczynowego pierścionka, i nie chce mnie wcale już widzieć. Zachowałam się spokojnie i żądałam z nim się rozmówić. Powiedziano mi, że odjechał, i tak było w istocie, chociaż z początku nie chciałam temu wierzyć. Słaby człowiek zawahał się na cnotliwe przedstawienia swoich krewniaków, którzy nic nie mieli pilniejszego jak oczyścić swój niepokalany dom z tej hańbiącej plamy. Łatwo się pan domyślasz, żem nie zwlekała rozłączenia. Z początku opanowało mnie gorzkie i bolesne uczucie. Żal mi się również zrobiło dobrego człowieka, w którym zdawało mi się, żem pozyskała przyjaciela. Potem znów całe to wydarzenie zdało mi się tak śmieszne, iż gdym minęła bramę miasta, nie mogłam się powstrzymać od szalonego śmiechu. Z moją nieuszkodzoną, piękną cnotą wyruszyłam dalej. Cóż ci ona przyniosła dobrego, pomyślałam sobie, teraz pokrzepiaj się nią wśród obcych, gdzie masz się błąkać pozbawiona miłości i miejsc rodzinnych. Ale nie, inaczej weźmy się do rzeczy. Żem drugi raz postradała szczęście, była-to moja własna wina. Jeśli komu własne serce nie wskaże drogi, to zawsze błąkać się musi. Jużem raz popadła w biedę, żem go słuchać nie chciała, chociaż tak głośno wołało na mnie. Teraz będę uważniejszą, i gdy tylko na wpół głośno szepnie, na nic innego zważać nie będę.

Tak, jeśliby tylko znów przemówiło. Jużem go tyle razy pytała, a ono wciąż milczy. Raz obraziłam je mocno.

Wejść do służby do jakiej rodziny lub do jakiej samej pani, nie miałam ochoty. Lecz także było mi nieznośnem pracować w samotności na kawałek powszedniego chleba. Wybrałam się tedy w podróż za szczęściem, i nie potrzebowałam zbyt oddalać się od gościńca, aby je zaraz, jak to mówią, schwytać za włosy, skoro będzie przechodziło. Przyjęłam więc miejsce w dużym zajezdnym domu, gdzie pełniłam wskazane mi obowiązki, nie pozwalając, aby mną kto więcej rządził. Miałam pod swoim zarządem srebro i bieliznę stołową i byłam niezależną, gdyż wdowa po gospodarzu, do którego dom ten należał, po większej części chora w łóżku przeleżała. Ponieważ uważano mnie za piękną, liczba gości znacznie się zwiększyła. Myślałam sobie: pomiędzy tyloma znajdzie się może jeden, co mi wskaże drogę do szczęścia. Alem się bardzo oszukała. Nie zbywało mi na wielbicielach ze wszystkich stanów, młodych i starych, ze złemi i dobremi zamiarami, czekałam tylko na odpowiedź serca, lecz to wcale się nie odzywało. Jeśliby najlżejszy głos wydało, to mówię panu otwarcie, a możesz sądzić, co ci się podoba, żebym wcale mojej cnoty nie żałowała.

Ale jak powiedziałam, ono wciąż milczało. Raz tylko sądziłam, że się poruszyło. Pewien młody książę, który podróżował incognito wstąpił do naszego domu; był prześliczny, pełen rycerskiego usposobienia, i jak mówiono, bardzo niebezpieczny dla kobiet. Gdy mnie na schodach spotkał, przystanął i przywitał pełnym uszanowania wyrazem, który mnie trochę zastanowił. Wkrótce potem odwiedził mnie jego kamerdyner i nie mógł wypowiedzieć, jak wielkie wrażenie uczyniłam na jego panu. Dał mi wyraźnie poznać, że z wielką przyszłoby mi łatwością świetną rolę odegrać w rezydencyi. Wysłuchałam tego z wielką obojętnością i nic nie odpowiedziałam owemu człowiekowi. Ale nie mogę zaprzeczyć, że smagła postać księcia, jego ogniste oczy i miły ton głosu, prześladowały mnie przez dzień cały. A gdym go po raz drugi spotkała, to spojrzał na mnie wzrokiem tak zasmuconym, iż albo wybornym był komedyantem, albo też w istocie trochę się mną zajął. Potem nastąpiło to, czegom się obawiała. Późno w nocy zapukał ktoś do drzwi moich. Nie mogłam oka zmrużyć od wzruszenia i oczekiwania. Zapukanie rozstrzygło rzecz całą. Widziałam jasno, iż ów niepokój, który mnie ogarnął, miał swoje źródło we krwi a nie w sercu. Jakto, rzekłam sama do siebie, jedynemu którego kiedyś kochałaś, dozwoliłaś napróżno pukać do drzwi, tak iż z tego powodu popadł w przepaść, a teraz obcemu mógłabyś ustąpić to, co za zbyt kosztowne uważałaś dla jedynego twojego przyjaciela.—Kto tam? zapytałam nagle i głosem donośnym. Wymienił po cichu swoje nazwisko.—Wasza książęca mość pomyliłeś się co do drzwi, rzekłam podniesionym głosem, pańskie pokoje znajdują się o jedno piętro niżej. Czy mam na kelnera zadzwonić, aby je księciu panu pokazał? Postał jeszcze chwilę, szukając pozoru. Ja odrzekłam tylko: dobranoc! Potem usłyszałam, jak w istocie po cichu zszedł na dół.

Milczała przez chwilę, wstrząsając głową. —Nie, rzekła, to nie byłoby szczęście, spodziewałam się czegoś lepszego. I w takich nadziejach spędziłam pięć czy sześć lat, i zawsze myślałam, że to od miejsca zależy, iż go znaleść nie mogę, i wciąż się oburzałam, gdy dni i lata upływały daremnie. Tu zapewne jest już moja ostatnia stacya, gdyż czuję, iż zapóźno spodziewać się dłużej. Pragnę tylko spokoju i pozbycia się tej wiecznej myśli, że wciąż się zrywam ze snu i słyszę, jak moje szczęście puka do drzwi, albo jak koń rży

wśród nocy, która mi jedynego przyjaciela do grobu wtrąciła. Gaston miał słuszność, że tego żałować będę.

Patrzała przed siebie strasznym wzrokiem, który mi duszę przeszywał.

— Magdaleno, rzekł, mówiłaś, że szczęście do drzwi twoich pukało. A czy jesteś tego pewną? Gdyby to były: niewiara, nędza i hańba, a ty otworzyłaś, podwójnie nie żałowałabyś teraz?

Naraz otworzyła oczy i zdziwiona spojrzała na niego.

— Hańba? — rzekła. — Cóż to jest hańba? Zasmucać tych, którzy nas kochają i których my kochamy, to uważam za hańbę. Tak, gdyby mój ojciec żył jeszcze, to byłoby mi łatwiej mojego szczęścia się wyrzec; byłabym przecie wiedziała za co, wtedy też cnota nie byłaby próżnem marzeniem. Ale co obcy ludzie myślą i mówią, cóż nam z tego? Moją cnotę obciążyli zbrodnią i zaprzeczyli jej, a gdyby znów uwielbiali to, co mnie jako nikczemny występek prześladuje, czybym przez to samo lżej go znosiła? Sądzisz pan. że w końcu mnieby porzucił i wiarę złamał. To bardzo być może. Wiele jest na świecie dzieci, które nie mają ojca. Lecz skoro matkę mają, która przecież nie jest samotna na świecie, a jeśli ją dojdą gadania ludzi, to jeszcze ma tę pociechę, że posiada istotę, która dla niej miłość tylko czuje, którą piastować może na swojem łonie i przyśpiewywać: „que je vous aime!“

Wyrzekłszy te słowa zerwała się z miejsca i zakryła twarz obiedwiema rękami i jak nieprzytomna biegała po pokoju. Ukochać coś, mówiła stłumionym głosem do siebie, choćby psa, ptaka... Wszystko co mam oddałabym za to! Czy podobna znieść życie bez szczęścia, Wstawać i znów kłaść się w łóżku, otwierać i zamykać szafy z bielizną, włożyć na siebie nową suknię i słyszeć, że ona dobrze leży... i tak po wszystkie dni. O długoż tego? Teraz mam lat trzydzieści, nie, jeszcze nie, ale to mniejsza. Siedmnasty rok oto piękny wiek, mówią stare kobiety. Cóż za smutny widok! Nie jesteś że pan tego samego zdania?

— Kochana, biedna Magdaleno! — rzekł do niej —odciągnął ręce od twarzy i trzymał je w swoich. Ona nic nie mówiła, tylko dzikim wzrokiem na niego patrzała. — Nie prawdaż — rzekła wreszcie — iż nic przeciwko temu zarzucić nie można; jeśli się kto z rana bardzo nabiegał, to może sobie spocząć w południe, nie czekając wieczoru, choćby na środku gościńca, gdzie mu się nadarzy. Czy sam Pan Bóg może nam wziąć to za złe? Czy może kto wytrzymać na świecie, gdy ten stał się mu nieznośnym? Czy nie położy końca wszystkiemu, gdy żadna dusza do niego nie należy, ani on nikogo uszczęśliwić nie potrafi, gdy dlań cały dzień od samego wschodu słońca tak jest obojętny, jak mnie?

Tysiąc odpowiedzi miał na języku, lecz wciąż milczał. Już w ciągu opowiadania, chciał jej zarzut uczynić, że wcale niesłusznie dręczy swoje serce. Nie oziębłość lub mroczne pojęcie o cnocie powstrzymało ją, iż bezwarunkowo nie rzuciła się w objęcia kochanka, lecz to głębokie, wrodzone nam uczucie, że szczęście naszego życia nie buduje się na szałach jednej godziny, że jeśli siebie mieli pozostać godni, to sama świadomość, że się pokochali, musiała ich stawiać wyżej, aniżeli wszelkie namiętne pragnienia. Czyliż wierność jest niczem, a namiętność wszystkiem? Czyliż szczęście może być trwałem bez wzajemnej wymiany obowiązków? I czyliż powodzenie ma być miarą naszego postępowania?

Lecz czuł także bardzo dobrze, iż najżyczliwsze namowy nie wpłynęłyby na jej umysł. Słowa doktora stanęły mu w pamięci. W istocie zaczął pojmować, że po owej, strasznej nocy pozostała w jej duszy głęboka rana, której nie może uleczyć żadne rozumowanie, żadne najserdeczniejsze przedstawienie, lecz jedynie rzeczywiste, zupełne szczęście, którego ona, według tego wszystkiego, co mu tak otwarcie wyspowiadała, tem godniejszą była. Teraz, gdy pełne zajęcia jego spojrzenie poczuła i uśmiechnąć się starała, zaledwie mógł się powstrzymać z obawy zbytniego wzruszenia, aby jej nie pochwycić w swoje ramiona i pieszczotami i przyrzeczeniami nie ukoić jej jak dziecka, które pocieszyć usiłujemy.

— Czego się pan tak na mnie patrzysz? — rzekła. — Pojmujesz teraz dobrze, iż miałam słuszność, gdym ci na początku powiedziała, że nie możesz mi pomódz, pomimo najszczerszej chęci. Wszelako dziękuję panu, żeś jak prawdziwy przyjaciel względem mnie postąpił; opowiedziałam ci moje dzieje, to mi ulgę przyniosło. Ale już późno. Spojrzała na złoty zegarek, który miała pod paskiem ukryty. — Druga godzina! Jutro wszakże pan rano wyjeżdżasz.

— Być może, jeszcze nie — odrzekł poważnie, dodawszy, mimo woli prawie: — Zdaje mi się, jakbym już stanął u celu i nie potrzebował dalej przez Dunaj się przeprawiać.

Pojęła go odrazu i nie ukryła tego.

— Nie — odrzekła — odjedź pan. Sam siebie łudzisz, powodowany litością i współczuciem, a być może i dla tego, że jestem bliżej ciebie niż kto inny. Lecz wierz mi pan, że jutro już, podczas drogi zmieni się twoje usposobienie. Gdy u rzeczywistego staniesz celu, to zaledwie przypomnisz sobie to małe zboczenie. Lepiej więc odrazu wszystko przerwać.

— Dobrze — odpowiedział. —Niechże się tam wprzód rzecz rozstrzygnie, na to nie będę potrzebował długiego czasu. W każdym razie, jak tu powrócę, czy zastanę panią w tym domu?

Zaprzeczyła skinieniem głowy.

— Gospodarz oświadczył mi się — rzekła. — Odmówiłam mu, niedługo więc tu zabawię. Na Zielone Świątki odchodzę.

— A dokąd? — zawołał pospiesznie.

— Spocząć! — odrzekła ponuro. — Nie wytrzymam już dłużej.

— Magdaleno! — zawoła wzruszony mocno. Nie mówisz tego na seryo. Powiedz mi tylko jedną rzecz. Jeśli tu wrócę, nim twój czas upłynie, i gdy szczęścia, którego mam szukać, nie znajdę tam, czy mogę się spodziewać że mnie tu ono nie minie?

— Trudno! — odrzekła. — Ale po co mówić o rzeczach, które się nigdy nie spełnią?

— Nie odpowiadasz mi na pytanie — nalegał, ująwszy ją za rękę. — Powiedz mi tylko, czy wydaje ci się możliwem pokochać znów życie, jeślibyś je ze mną podzielić chciała. To jedno mi tylko powiedz, a wtedy... mogę wybornie tu pozostać, gdyż co do mnie, wiem najlepiej, czego spodziewać, czego życzyć sobie.

Milczała przez chwilę unikając jego wzroku, nie cofała jednak ręki.

— Zwolnij mnie pan od odpowiedzi — rzekła.— Wiesz już dosyć. Powiedziałam ci więcej o sobie, niż komukolwiek z ludzi. Jedź pan szczęśliwie. A jeśli rzeczywiście powrócisz, to zawsze dosyć będzie czasu na pytania i odpowiedzi. Żegnam. d. n.

PRZYCZYNKI DO RACYONALNEJ PEDAGOGII

zebrał

A. Szymański.

II.

Wpływ pierwszego wychowania na indywidualność dziecka.

Określając indywidualność dziecka i jej znaczenie w pedagogii, przyrzekliśmy wykazać następnie błędy, których dopuszcza się większość wychowawców w skutek nieuwzględniania tych pierwiastków; przyrzekliśmy również wskazać inne, na poszanowaniu dziecięcej indywidualności oparte, sposoby postępowania.

Zadaniu swemu możemy uczynić zadość wtedy tylko, gdy poznamy jak należy, to wszystko co wychowanie domowe nadaje dziecku, w pierwszych latach jego życia; te wszystkie cechy które stają się jego nieodłączną własnością, jednem słowem, gdy wykażemy, jaką formą i treścią odznacza się indywidualność dziecka narzucona mu wpływami pierwszego wychowania i otoczenia.

Namieniliśmy wyżej jak niestosowne przyczyny mogą wywoływać niestosowne wrażenia i w ten sposób niszczyć lub spaczać zdolności wrodzonych władz dziecka albo też rozwijać tylko niektóre z nich ze szkodą innych.

Wychowanie nasze we wszystkiem co tylko pośrednio czy też bezpośrednio jakikolwiek związek z kształceniem i rozwijaniem indywidualnych sił dziecka mieć może, trzyma się z małymi wyjątkami, następujących zasad:

Jedna część wychowawców nie rozwija w swych dzieciach żadnej z władz przeznaczonych naturą do odbierania wrażeń, lecz przeciwnie postępowaniem swem zmierza do zupełnego przytępienia rozwoju takowych. Druga część już to ze świadomością już to bez niej, rozwija w dzieciach jedną z tych przyrodzonych zdolności. Pomówim tu o pierwszych.

Tam, gdzie ogólny poziom oświaty nie na tak niskim jak u nas znajduje się stopniu, wychowawców pierwszego rodzaju prawie wcale nie ma: u nas jednak spotykamy się z nimi nierównie częściej, a nawet, kto wie, czy nie tworzą dość pokaźnej większości. Na każdym kroku spotykamy dzieci, których władze umysłowe znajdują się albo w zupełnem uśpie-

niu, albo co gorsza, uległy najfatalniejszemu spaczeniu.

Są to po większej części dzieci klas mniej zamożnych, średnich, które, jak wiadomo, są duszą każdego społeczeństwa; tu również zaliczyć należy dzieci klas zamożniejszych, dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności, wykluczone z pod troskliwej opieki rozumnych rodziców, tak często u nas rozdzielających nie jednakowo swą miłość ku własnym dzieciom.

Władze zmysłów a tem samem i wszystkie władze umysłowe rozbudzają się za pomocą częstego systematycznego wywoływania stosownych wrażeń. Czem częściej będziemy stawiać dziecię w danych okolicznościach, tem silniej za każdy raz odczuje ono wynikające z nich wrażenia; z tem większą świadomością za każdym razem odniesie się ono ku wywołanemu wrażeniu; mówiąc inaczej, wrażliwość w pewnym kierunku zaczyna kształcić się i wyrabiać, a pojęcia umysłowe rozszerzać.

Otóż, chcąc racyonalnie prowadzić wychowanie dziecka, należy od kolebki już otoczyć je rozumną pieczołowitością, od kolebki powtarzamy, kształcić i rozwijać przyszłego człowieka. Praca to ciężka i trudna, a jeszcze cięższa i trudniejsza dla tych co nie mają o niej żadnego pojęcia, co nie czują nawet potrzeby rozszerzania swych ograniczonych w tym względzie pojęć.

Cóż się więc dzieje? Dzieje się rzecz bardzo prosta: rodzice nie zwracają na dziecko do lat 6—7 najmniejszej uwagi i puszczają je samopas, powierzając opiece Boga i.. głupich nianiek. Pod tak silną osłoną formuje się indywidualność dziecka, której główne rysy odkryć wam zamierzamy.

Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę i na to, że dzieci chowane bez rozumnej opieki, jeżeli czasami doznają jakich względów ze strony rodziców, to względy te nigdy prawie nie wywołują dodatnich rezultatów, a najczęściej sprowadzają skutki przeciwne. Brak wszelkiej rozumnej opieki sprowadza to, że odbierane przez dziecko wrażenia, swą rozmaitością, brakiem wszelkiego systemu, nie mogą rozwinąć żadnej z władz do odbierania wrażeń przeznaczonych: dziecko ciągle bywa przerzucane z jednej ostateczności w drugą: śmieje się, rodzice krzyczą; bawi się głośno, ojcu przeszkadza; pyta się o co, niktmu odpowiedzieć nie umie; płacze, biją aby nie płakało i t. d. Obrazek to wcale nie przesadzony, owszem, widzieliśmy ich wiele i wszystkie żywo utkwiły nam w pamięci.

Nieszczęśliwe dziecię czy może w takim stanie rozwinąć swe władze? czy może w małej główce uformować się choć jedno ściśle określone pojęcie, jeżeli ono nigdy nie odebrało systematycznie nawet dwóch prawidłowych wrażeń? Naturalnie że nie. Odbierane przezeń wrażenia, szybko następują jedno za drugiem, a każde z innego świata, każde powiększa tylko poprzedni chaos: bezmyślna radość następuje po rozpaczliwym smutku, płacz, strach, ból, bojaźń, śmiech, zawiść jak w kalejdoskopie jarmarcznym na przemian zmieniają się po sobie.

Mały człowiek poniżony, pogardzony, męczony na wszystkie sposoby, wpada w stan zupełnego obezczulenia; odbierane wrażenia tak chaotycznie układają się w biednej główce, że przekształca się on w małe zwierzątko, kierujące się w swem życiu tylko instynktem czysto zachowawczym. Z tych to dzieci tworzy się potężny kontyngens znany u nas pod specyalną zwykłą w naszym pedagogicznym języku nazwą „tępych.“

Ile razy usłyszę ten epitet nadawany przez ojca lub matkę własnym dzieciom, tyle razy siłą woli wstrzymuję się tylko od plunięcia w oczy tym, co tak bezczelnie wystawiają światu obraz własnego zbydlęcenia i idiotyzmu. *Te tępe dzieci, to wy sami jesteście!* To skarłowacenie człowieczego ducha, to podeptanie i przytłumienie wszystkich iskier bożych, które w nim tlały, jest to niemy ale najwymowniejszy, niczem niezbity świadek, że hańbą okryliście święte imię rodziców, że skalaliście ich szczytne powołanie swem plugawem dotknięciem.

Z czego się składa i jaką jest indywidualność takiego dziecka, powiedzieliśmy: jest to małe zwierzątko obdarzone tylko więcej wyrobionym mechanizmem ciała i mową. Jego cechy indywidualne, to instynkt samozachowawczy, a jego uczucie najbardziej rozwinięte, to egoizm indywidualny otoczony całym zastępem uczuć przeważnie ujemnej natury.

Pierwsze miejsce pośród nich zajmuje uczucie bojaźni. Psychologia poucza nas, że uczucie to wypływa z zupełnej nieznajomości istoty danego zjawiska. Każde więc takie dziecko nie może nie wyrobić w sobie uczucia tego w stopniu najwyższym. Wszak nikt nigdy nie zadał sobie żadnego trudu, aby mu objaśnić choć jeden najprostszy fakt z codziennego życia, aby rozwiązać mu choć jedną z napotykanych wszędzie zagadek. Nie tylko zatem zjawiska przyrody, ciemny pokój i strachy wzbudzają w nim nieopisaną trwogę, ale każdy obcy człowiek, każde słowo wypowiedziane przez kogokolwiek ze starszych, wywołują też same następstwa. Uczucia tego nie należy nigdy lekko traktować, nie należy nigdy pocieszać się tem, że ono samo przez się zniknie w wieku dojrzalszym. Tak jednak czynią niektórzy z naszych pedagogów, a są i tacy co nawet szczycą się tem, że samem swem zjawieniem się między dziećmi, wywołują strach paniczny. Uczucie to w wieku dojrzałym znika o tyle, że człowiek dorosły nie będzie się już obawiał tych zjawisk i rzeczy, z któremi, chcąc nie chcąc, obezna się bliżej w swem życiu późniejszem; w najważniejszych jednak chwilach tego życia a nawet w jego zwykłej codziennej praktyce, od poznania której z taką naiwną głupotą usuwamy swe dzieci, pozostanie na zawsze człowiekiem lękliwym i niezdecydowanym.

Pogardzane i pomiatane przez wszystkich dziecię, oprócz wskazanych wyrabia jeszcze w sobie uczucie pewnego wstrętu i nienawiści do otaczających, a uczucie to przechodzi później i na inne osoby, które z nim styczność mieć będą. Jest to bardzo naturalne: dziecię takie nigdy od nikogo nie doznało nic takiego, coby mogło z jego strony zasługiwać na wdzięczność, nie odróżnia więc później dobrego lub złego względem siebie postępowania i nawet na wyświadczone sobie dobro zwykło odpowiadać wstrętem i nienawiścią a co najwyżej przyjmuje je obojętnie z powodu iż nie ufa nikomu.

Ten brak wszelkiego zaufania charakteryzujący zapatrywanie dzieci na postępowanie starszych, jest dalszym pasmem w szeregu uczuć które już wymieniliśmy. Jest ono wypadkiem niesumiennego postępowania z dziećmi, zupełnego lekceważenia danego im słowa; jest to chroniczna choroba naszej pedagogii, która w wychowaniu dzieci szerokie miejsce wyznacza dla bezczelnego kłamstwa i ciągłego okpiwania dzieci. Na wyliczeniu tych uczuć poprzestaniemy, a z porządku rzeczy wykażemy teraz ku czemu one w dalszym swym rozwoju popychają małą istotę; jakie popędy są najczęściej dźwignią jej przykrego życia?

Liczny ich zastęp niepozwala nam wyliczać wszystkich, wedle naszego przekonania na szczególniejszą uwagę wychowawcy zasługują następujące popędy w dziecku:

a) popęd do ukrywania się ze swemi postępkami.

b) popęd do czynienia rzeczy zakazanych.

c) popęd do rozmyślnego szkodzenia i wyrządzania krzywd wszystkim otaczających je.

d) popęd do upatrywania we wszystkiem egoistycznych korzyści.

Wiadomo powszechnie, że wychowawcy, o których tu mowa, na każdy postępek dziecka zapatrują się zawsze jak na jakiś szczególny wybryk, w każdym jego czynie zawsze umieją wynaleść coś niestosownego. Dziecko tymczasem nie może się od nich nigdy ustronić, tembardziej więc narażać się musi, jeżeli nikt nim nie kieruje, nikt mu nie wytyka drogi po której bez uszkodzenia stąpać bymogło. W skutek tego idą wybryki za wybrykami, jedna niestosowność zamienia się drugą a wszystko to pociąga za sobą ciągłe łajania i karcenia. Dziecko, widząc, że co tylko zrobi, jest złe, do czego się tylko dotknie, zepsuje i wywołuje coraz częstsze i przykrzejsze bury i kary, zaczyna unikać tak przykrego dla siebie towarzystwa i w unikaniu tem znajduje nową przyjemność. Uczucie przyjemności, wywoływane usuwaniem się od starszych, zaczyna powoli wzrastać i przechodzi nakoniec w popęd do ukrywania się przed nimi z każdym swym postępkiem.

Również łatwo odszukać przyczynę powstawania drugiego popędu. Przypuśćmy, chłopiec 4-ro letni bawi się „w konie,“ w tym samym pokoju pracuje ojciec: nie tamowana żadnemi przeszkodami zabawa staje się coraz głośniejszą i nareszcie przechodzi w kompletny hałas; naturalnie ojciec z gniewem wypędza malca z pokoju. Zbity z tropu w najprzyjemniejszej chwili, malec posmutniał, szuka więc matki, aby przed nią użalić się i pocieszyć trochę; nieszczęście mieć chciało, że w tej właśnie chwili mama, zirytowana na służącę, również z gniewem opowiada na jego skargi i pytania, pozostaje mu jedyny środek wynieść się z domu na dwór, wybiega więc do ogrodu, w którym odbywa się pielenie warzywa lub kwiatów, ucieszony ładnym widokiem, zapomina o niedawnym smutku, zapomina o wszystkiem i z radości włazi na zagony lub grzędy: rozumie się robotnicy, spostrzegłszy

to, wypędzają go i stąd, jeszcze haniebniej jak ojciec i matka. Tak, mniej więcej, starsi psują dziecku codziennie na każdym kroku nie raz zupełnie niewinne zabawy. Im zaś częściej to się powtarzać będzie, tem prędzej w umyśle dziecka odbędzie się następujący proces myśli: „Co tylko sprawia mi przyjemność jest mi zwykle zakazane, a zatem co tylko przez starszych zakazane musi być koniecznie i przyjemne.“

Trzeci popęd skłaniający dziecko do rozmyślnego szkodzenia bliźnim, jest naturalnem następstwem, wypływającem: z jednej strony z naśladowania starszych, z drugiej strony z uczuć, wypływających, nieprzyjemnych wrażeń jako rezultatu złego z nim postępowania, każde z tych dzieci jak pamięcią zasięgnąć zdoła widzi że wszyscy mu szkodzili, wszyscy bez litości burzyli jego najpiękniejsze nadzieje na drewnianych koniach, pokojowych walkach i innych środkach rozweselenia oparte; widzi ono jednak, że inni, starsi szczególniej, bez żadnych przeszkód przyjemności tych używają, to budzi w nim uczucie zawiści, które w połączeniu z przyzwyczajeniem do męczenia much, kotów, psów i nianiek od kolebki nabytem, przechodzi łatwo w popęd do robienia złego swym rówieśnikom i młodszym, a po nabraniu wprawy i pewnego w tej mierze doświadczenia, i starszym.

Czwarty nakoniec popęd wynika z nieumiejętnego zaspokojenia potrzeb dziecka. Z nieumiejętnego, potarzamy wyraźnie, bo jak zupełne nie zaspokajanie takowych tak nadmierna o nie troskliwość doprowadzą dziecko do jednego i tegoż samego rezultatu. Pobudki będą tylko rozmaite, ale cel równie jednakowy. Dziecko, o które zanadto się troszczymy, któremu jak to mówią, pył z przed nosa zdmuchują, przyzwyczaja się we wszystkiem widzieć tylko środki do zaspokojenia jego egoistycznych potrzeb i zachcianek służące, dziecko znowu o które nikt niedba, nie omieszka wiedzione instyktem zachowawczym z każdej nadarzonej sposobności ciągnąć nieraz i najujemniejszych zysków.

Z takich uczuć, z takich popędów formuje się duchowa, zmysłowa i moralna strona każdego dziecka, formuje się to, co nazwaliśmy dziecięcą indywidualnością. Jaką ona będzie każdy łatwo odgadnie: Upór i mściwość, kłamstwo i obłuda, głupota i niedołęztwo umysłowe oto wszystko, co w wymienionych warunkach dziecko zdobyć może. Naturalnie, nie mówimy tu, aby te wszystkie wady znajdowały się naraz w jednym dziecku.

Nie. Mówimy tylko, że takie wychowanie, takie życie i otoczenie tylko tem swych pupilów darzyć może, a że się nie zawsze nimi darzy, że pomimo tysiącznych okoliczności dążących do nadania każdemu dziecku cech wymienionych, cechy te nie zawsze zlewają się na jedną osobistość, zawdzięczamy to wielu innym okolicznościom, które swym wpływem ochraniają nię jedną przyrodzoną władzę od zaguby, nie jedną wspaniale rozwijają. Powstaje wtedy indywidualność inna z dobrych i złych cech złożona i o niej w następnym artykule mówić będziemy.

d. c. n.

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(dalszy ciąg).

V.

7 *Października.* Dziesięć dni temu wyjechałem z Charleston; droga odbywa się szczęśliwie i szybko. Zaznajomiłem się z porucznikiem i często z nim rozmawiam.

Dziś rano Robert Kurtis powiedział mi, że zbliżamy się do gromady wysp Bermudzkich na wysokości przylądka Hatterasa. Obserwacye wskazały 32°, 20' szerokości północnej a 64°, 50' długości zachodniej według południka Greenwich. Przed wieczorem zobaczymy Bermudy, mianowicie zaś na wyspę S-go Grzegorza.

— Jak to, zawołałem, dopływamy do Bermudów? Sądziłem, że statek wyjeżdżający z Charleston, posuwa się w kierunku więcej północnym trzymając się prądu Gulf-stream.

— Rzeczywiście panie Kazallon, jest to najzwyczajniejszy kierunek, który tym razem jednak kapitan uważał za stosowne zmienić.

— Dla czego?

— Nie wiem, z samego początku ruszyliśmy drogą wschodnią jesteśmy więc na wschodzie.

— Czyś pan mu robił jakie względem tego uwagi?

Owszem wspomniałem mu kilkakrotnie, że nie jedziemy zwyczajną drogą, na co mi odpowiedział, że sam najlepiej wie co robi.

Mówiąc to Robert Kurtis zmarszczył brwi i potarł ręką po czole, sądzę nie chce wszystkiego powiedzieć co myśli.

— Jednakże panie Kurtis dziś jest siódmego pazdziernika, zbyt więc już późno na to, ażeby w tym roku szukać nowych dróg. Nie mamy ani dnia do stracenia jeżeli chcemy dojechać do Europy zanim się zerwą nawałnice.

— Tak panie Kazallon ani jednego dnia.

— Racz mi wybaczyć panie Kurtis niedyskretne pytanie, chciałbym jednak wiedzieć zdanie pańskie o kapitanie Huntly.

— Ja myślę, odrzekł porucznik, ja myślę, że to jest... mój kapitan!

Zaniepokoiła mię ta odpowiedź ostrożna. Robert Kurtis nie mylił się wcale. Około trzeciej majtek czuwający na bocianem gnieździe zawołał. „Ziemia pod wiatrem, na północo-zachód,“ dotąd jednak zaledwie jak mgłę rozróżnić ją można.

Około szóstej wyszedłem na pokład z Letounerami, ażeby przypatrzyć się Bermudom.

Otoczone łańcuchem skał, wznoszą się one bardzo mało nad poziom morza.

— I to jest ten zaczarowany archipelag, ta gruppa malownicza, którą wasz poeta panie Kazallon, Tomasz Moore wychwalał w swoich odach. Już w 1643, wygnaniec Walter z zapałem opisał te wyspy, a póżniej jeżeli się nie mylę, damy angielskie nie chciały nosić kapeluszy, jeżeli te nie były zrobione z liści bermudzkiej palmy.

— Masz racyą mój Andrzeju, Archipelag bermudzki był bardzo w modzie około 17-go wieku, dziś jednak uległ zupełnemu zapomnieniu.

— Oprócz tego panie Andrzeju, dodał Robert Kurtis, poeci unosząc się nad tym Archipelagiem, wcale nie zgadzają się z żeglarzami, bo do lądu tych rajów, których widok tak zachwycał pieśniarzy, bardzo trudno dostać się marynarzowi, z powodu skał formujących na około wieniec ukryty pod wodą i bardzo dla okrętów niebezpieczny. Co zaś do jasnego nieba, o tem także wiele możnaby powiedzieć. Sam ogon uraganów, które niszczą Antyle uderza w Bermudy. burza zaś, to jak wieloryb. ogonem najsilniej bije. Radzę, więc nie dawać zbytniej wiary opisom Thomasza Moore i Waltera.

— P. Kurtis, dodał uśmiechając się Andrzej, poeci jak przysłowia, jedno drugiemu zawsze przeczy. Jeżeli Thomasz Moore i Walter unoszą się nad roskoszą pobytu na tych wyspach, za to Schakespeare, który zapewne musiał je znać lepiej niż tamci obydwa, na nich umieścił najstraszliwsze sceny swojego dramatu „Burza!“

Anglicy odwieczni posiadacze Archipelagu trzymają na nim stacyą wojskową, która pośrednicy między Antyllami i Nową Szkocyą. Madrepory, których tu niezmierne łany, pracują nad powiększeniem tego Archipelagu, tworząc coraz nowe wyspy i z czasem łącząc je z sobą.

Oprócz nas, nikt z podróżnych nie wyszedł na pokład, ażeby zobaczyć ten ciekawy Archipelag.

Panna Herbey zaledwie się ukazała na wystawce musiała cofnąć się odwołana do kajuty lamentującym głosem pani Kear.

VI.

Od 8 do 10 października. Wiatr północno-zachodni dmie silnie.

Morze rozkołysało się i żegluga męczy coraz gorzej. Deski w podłodze trzeszczą i to mnie nudzi potężnie. Podróżni prawie cały czas siedzą pod wystawką, ja zaś wolę zostać na pokładzie pomimo ciągłego deszczyku co przenika aż do kości.

Od dwóch dni daleko prędzej płyniemy, pomimo zniżenia masztów; wiatr przelatuje od 50 do 60 mil na godzinę.

Chancellor jest ciągle w najlepszym stanie. zboczenie jednak silne ciągle pcha nas na południe.

Zachmurzone niebo nie pozwala zrobić obserwacyi astronomicznych, nie wiemy zatem na pewno gdzie jesteśmy.

Towarzysze podróży nic nie wiedzą o dziwnym i niewytłómaczonym kierunku jaki kapitan dał statkowi.

Anglja jest na północo-wschodzie, a my ciągle płyniemy na południo-wschód! Robert Kurtis nie rozumie uporu kapitana, który zamiast puszczać ciągle żagle za wiatrem, powinien je zmienić i na północo-zachodzie szukać przyjaznych prądów.

Dziś rano na wystawce spytałem Roberta Kurtis czy kapitan czasem nie zwarjował?

— Pan uważasz go ciągle, panie Kazallon, powinieneś więc lepiej wiedzieć odemnie.

— Nie wiem co myśleć o nim, ale rzeczywiście ma szczególny wyraz twarzy, i oczy z dziwnym obłędem patrzą jak u obłąkanego! Czy jeździłeś pan z nim kiedy?

— Nie panie Kazallon, po raz pierwszy teraz płynę.

— I zwracałeś pan powtórnie uwagę kapitana na zły kierunek żeglugi.

— Zwracałem: ale on znów mi odpowiedział, że wie co robi.

— Powiedz mi panie Kurtis co myślą o tem bossman i porucznik Walter?

— Myślą toż samo co pan i ja.

— No, ale gdyby kapitanowi Huntly przyszła fantazya zawieść nas do Chin.

— To pojedziemy do Chin.

— Tak, ale subordynacya ma pewne granice.

— Nie, dopóki postępowanie kapitana nie grozi niebezpieczeństwem okrętowi.

— A jeżeli naprawdę dostał pomieszania zmysłów.

— W takim razie, panie Kazallon, wiem co mi do działania pozostaje.

Przyznam się, że było to dla mnie niespodzianką, nie wchodzącą wcale w program podróży na Chancellorze.

Pogoda coraz gorsza, w tej stronie Atlantyku silne wiatry ciągle panują w jesieni.

W nocy z dnia 11 na 12, Chancellor wpłynął na morze sargaskie; tak nazywają przestrzeń wody otoczoną ciepłym prądem Gulfstreamu i pokrytą wodorostami, które Hiszpanie nazywają „Sargasso.“

Okręty Kolumba z trudnością zaledwie przebyły tę ruchomą massę.

W dzień Antlantyk jak ogród, wygląda panowie Letourneur wyszli także na pokład, pomimo silnej nawałnicy, która dmąc na metalowe liny wydobywa z nich dźwięki jak z strón harfy.

Ubranie każdy zapiął jak najmocniej, chcąc je uchronić od potargania przez wiatr.

Okręt na tej łące morskiej przecina kolej szeroką, niekiedy wiatr zarzuca długie jak dzikie wino gałązki aż na liny masztowe, formując pomiędzy niemi festony zieleni.

Algi, te wstążki bez końca 300 do 400 stóp długie, obejmują maszty do samego szczytu jak płomyki czerwone.

Przez kilka godzin musieliśmy odpierać ten napad wodorostów, chwilami zaś Chancellor, cały okryty lianami, wyglądał jak krzak płynący po niezmiernej łące.

VII.

14 Października. Chancellor wypłynął nareszcie z tego roślinnego oceanu, a gwałtowność wiatru znacznie się zmniejszyła, płyniemy jednak szybko ze ściągniętemi żaglami.

Słońce dziś pięknie świeci, ale jest bardzo gorąco. Obserwacye wskazują 21°, 33' szerokości północnej i 50° 117, długości zachodniej.

O dziesięć stopni więc spuściliśmy się na południe. Pomimo to kierunek pozostaje ciągle ten sam.

Ażeby zdać sobie sprawę z tego niepojętego uporu, kilkakrotnie rozmawiałem z kapitanem Huntly, i nie wiem co sądzić, czy ma zdrowe zmysły, czy zwaryował. W ogólności mówi zupełnie rozsądnie. Może więc jest to rodzaj maniactwa odnoszącego się tylko do rzeczy tyczących jego zawodu.

Takie zboczenia psychologiczne niejednokrotnie już widziano i mówiłem o tem Robertowi Kurtis.

Porucznik wysłuchał mnie z zimną krwią i powtórnie oświadczył, że dopóki kapitan nie naraża statku na zgubę wyraźnem szaleństwem, nie można mu odbierać władzy bez narażenia się na surową odpowiedzialność.

Wróciłem do kajuty około ósmej, następnie czytałem i myślałem z godzinę, wreszcie położyłem się spać.

W kilka godzin potem obudził mię jakiś niezwykły hałas. Na pokładzie słychać było szybkie kroki i żywą komendę. Zdaje się, że załoga miała jakąś pilną robotę. Co to jednak może znaczyć: sondować nie potrzeba, żagle ciągle pod wiatrem, nie rozumiem tego wcale.

Przez chwilę chciałem wyjść na pokład, ale hałas uspokoił się wkrótce. Kapitan Huntly także powrócił do kajuty umieszczonej na przodzie werendy, położyłem się więc i ja napowrót do łóżka.

Zapewne jakieś manewry spowodowały tę bieganinę. A jednak statek ciągle się równo kołysze, burza więc nie grozi.

Nazajutrz o 6-ej rano wyszedłem na wystawkę i obejrzałem statek. Na pozór nic się na pokładzie nie zmieniło. Chancellor pędzi z szybkością 11 mil na godzinę i wybornie się trzyma na powierzchni lekko kołyszącego się morza.

Wkrótce potem pan Letourneur wyszedł z synem na pokład. Pomogłem Andrzejowi wejść na werendę i oddychamy świeżem powietrzem silnie napojonem wonią morza.

Pytałem tych panów czy nie obudził ich w nocy hałas na pokładzie.

— Mnie, wcale nie, jednym tchem przespałem całą noc, odpowiedział Andrzej.

— W takim razie można ci powinszować twardego snu, rzekł p. Letourneur, bo ja także zbudziłem się w skutek hałasu o którym pan Kazallon mówi. Zdaje się nawet, że wołano: Żywo! żywo! do klap, do klap!

— Która mniej więcej mogła być godzina?

— Około trzeciej zapewne.

— I nie wiesz pan dla czego tak krzyczeli.

— Nie wiem panie Kazallon, ale nic ważnego nie musiało być, jeżeli nas nie wołano na pokład.

Poszedłem obejrzeć klapy znajdujące się przed i po za wielkim masztem, przez które wchodzi się na spód okrętu.

Jak zwykle są zamknięte, zauważyłem jednak, że przykryto je płótnem żaglowem, zatykając hermetycznie o ile można było.

Dla czego tak zapieczętowano te otwory nie wiem, zapewne jest jakiś powód, którego nie mogę zgadnąć.

Robert Kurtis mi wytłómaczy całą rzecz, poczekajmy więc aż przyjdzie kolej służby na niego, to zaś co zauważyłem lepiej zatrzymać przy sobie i nic nie mówić panom Letourneur.

Dzień będziemy mieli bardzo ładny, słońce wspaniale weszło, powietrze zupełnie suche.

Z przeciwnej strony nieba widać sierp księżyca mającego dziś zajść dopiero o 10-ej rano. Za trzy dni będzie ostatnia kwadra a 24 nów.

W roczniku moim zapowiadają na ten dzień wielki przypływ. Na pełnem morzu widzieć tego nie będziemy, ale na brzegach będzie to ciekawy do badania fenomen, bo nów uniesie massę wody do znacznej wysokości.

Panowie Letourneur zeszli do kajuty, ja zaś zostałem sam na wystawce czekając na porucznika.

O ósmej Kurtis zmienił Waltera.

Przed przywitaniem się ze mną, Robert rzucił okiem na pokład i czoło jego zmarszczyło się.

Potem obejrzał żaglowanie okrętu i stan nieba. Wreszcie zbliżając się do Waltera zapytał:

— Kapitan Huntly?

— Nie widziałem go dotąd.

— Co nowego?

— Nic.

Potem rozmawiali jakiś czas po cichu.

Na jedno z pytań Walter odpowiedział przeczącym ruchem głowy.

— Przyślij mi bossmana, mój Walterze, rzekł Kurtis do odchodzącego porucznika.

Bossman wkrótce się zjawił, a Robert Kurtis, zadał mu kilka pytań, na które tenże odpowiedział po cichu, kiwając przytem głową. Następnie na rozkaz porucznika warta oblała wodą płótno pokrywające klapy.

Zbliżyłem się nareszcie i witając Roberta zacząłem rozmowę o rzeczach zupełnie obojętnych. Widząc jednak, że Robert nie wspomina nic o tem co się stało, zapytałem:

— Ale! ale! cóż to wyrabialiście dziś po nocy na pokładzie.

Robert Kurtis uważnie popatrzył na mnie.

— No tak, dzisiejszej nocy obudził mnie i pana Letourneur hałas jakiś. Co się stało?

— Nic, panie Kazallon, fałszywy ruch sternika skrzywił nagle okręt, trzeba więc było zwrócić na dawną drogę i stąd pewien ruch na pokładzie. Źle jednak naprawiono zaraz i Chancellor płynie dalej w tym samym kierunku.

Zdaje mi się że Robert Kurtis, tak zawsze prawdomówny, teraz skłamał przedemną.

d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w c z y n i e.

V.

Ruch księgarski w Warszawie wzmógł się znacznie w czasach ostatnich. P. Henryk Trenkler otworzył nową księgarnię na ulicy Wierzbowej w b. hotelu Angielskim. P. B. Cassius nabył na własność księgarnię Merzbacha, a zasłużony niegdy księgarz wileński p. Maurycy Orgelbrand, otwiera filię swej księgarni na Senatorskiej w domu Epszteina. Chodzą też słuchy że pp. Okoński, Cassius, Stoppelle, Trenkler i Kaufman zawiązują pomiędzy sobą spółkę wydawniczą, i że zjednoczonemi w ten sposób siłami, biorą się przedewszystkiem do zupełnego wydania dzieł Krasińskiego.

Godzi się przypuszczać, że przedsięwzięcie to dobre by u publiczności znalazło przyjęcie, lecz bardziej że wydanie ma być poszytowe eleganckie, ozdobione licznemi rycinami, a cena przystępna.

* * *

Niezadługo już bo w połowie roku bieżącego nowa organizacya naszego sądownictwa w wykonanie wprowadzoną będzie. Jako niechybną jej zapowiedź spotykamy ogłaszane w Dzienniku Warszawskim nominacye osób, przeznaczanych na posady w przyszłym Okręgu Sądowym Warszawskim, i tak:

Towarzysz prezesa st-petersburskiego sądu okręgowego, Zakiewski, przeznaczonym został na prezesa warszawskiego sądu okręgowego. Prezes kowieńskiej izby sądu kryminalnego i cywilnego, baron Herschau, na prezesa sądu okręgowego kaliskiego. Towarzysz prezesa orłowskiego sądu okręgowego, Christjanowicz, na prezesa sądu okręgowego w Radomiu. Towarzysz prezesa połtawskiego sądu okręgowego, Oldenborgier, na prezesa sądu okręgowego w Łomży. Prezes iziumskiego sądu okręgowego, kamerjunkier dworu Wiesiełkinow, na prezesa sądu okręgowego w Piotrkowie, z pozostawieniem w godności dworskiej. Znajdujący się przy naczelnym prokuratorze w 2-gim departamencie senatu rządzącego, nadkompletnie, i pełniący obowiązki mohylewskiego gubernialnego prokuratora, Szewiczow, na prezesa sądu okręgowego kieleckiego. Członek charkowskiej izby sądowej, Jabłońskoj, na prezesa sądu okręgowego siedleckiego. Prezes ostrogożskiego sądu okręgowego, Solski, na prezesa sądu okręgowego suwalskiego. Prezes grodzieńskiej izby sądu kryminalnego i cywilnego, Butoski, na prezesa sądu okręgowego w Lublinie. Towarzysz prezesa tambowskiego sądu okręgowego, Łonginow, na prezesa sądu okręgowego płockiego. Towarzysz prokuratora st.-petersburskiej izby sądowej, Trachimowski, będzie prokuratorem warszawskiej izby sądowej.

* * *

Z Maryampolskiego.

Po błogim śnie długoletnim Maryampol tej zimy zaczął okazywać znaki życia zamiast dotychczasowej wegetacyi, ale to przebudzenie się, spowodowane staraniem niektórych wyżej ukształconych osób dobrej woli, było podobno więcej pozorne niż rzeczywiste. Szczególniejszą położył w tym względzie zasługę pan C. który, trzeba mu to przyznać, wziął się do rzeczy bardzo trafnie. Znając dobrze towarzystwo miejscowe, wiedział on, iż chcąc obudzić w niem chęć do jakiejkolwiek poważniejszej i rozumniejszej zabawy, zamiast grasującej oddawna bezmyślnej gry w karty, trzeba zacząć od tańców, na które można tu łowić ludzi, jak ryby na wędę. Wszystko poszło jak z płatka, ale oczywista póki szło o tańce. Zbierało się dosyć liczne towarzystwo, tańczono do upadłego i tanim kosztem, aż w tem pan C. chciał zrobić krok naprzód, i za jego namową pan S. wystąpił z pięknym odczytem o kobiecie rzymskiej. Publiczność poczęła ziewać niemiłosiernie, amatorzy zielonego stolika nawet się z miejsc nie poruszyli i nie zajrzeli do sali. Wszystko to nie zraziło ludzi dobrej woli. Na następne zebranie pan C. zapowiedział odczyt o powietrzu. Odczyt ten nie zostawił nic do życzenia, ale sala była już prawie zupełnie pustą. Tak więc jak widzimy, odczyty zrobiły u nas zupełnie fiasco. Niechże tylko zapowiedzą znowu tańce, a znowu znajdzie się amatorów bez liku. Z tego trzeba chyba ten tylko wyprowadzić wniosek, iż Maryampol więcej dba o cywilizacyę nóg niż głowy.

Widzisz więc szanowny Redaktorze Opiekuna, iż łatwiej jest dać dobrą radę, niż w życie ją wprowadzić. Pisząc to mam na myśli jeden z artykułów twego szanownego pisma a mianowicie artykuł wstępny w numerze 43 pod tytułem „Długie wieczory.“ Piękne i zbawienne rady w nim zawarte, ale jakże je trudno urzeczywistnić w tak zwanych przez was *partykularzach.* O tem ostatniem słowie miałbym także do pomówienia, ale odłożę to na później. Tymczasem przechodzę do innych faktów na horyzoncie maryampolskim. Do takich zaliczyć muszę koncert gitary Sokołowskiego, dotychczas jedyny tej zimy, co jest zamało w porównaniu z przeszłoroczną prawdziwą powodzią koncertową. Ten ostatni koncert Sokołowskiego grzeszył tem samem co i inne jego koncerta, to jest zbyt wielką liczbą pomocników głównego artysty. Gra pana Sokołowskiego łagodna, składna, ale napróżno szukałby kto w niej jakiejkolwiek siły, energii. Być może iż jest to w części winą instrumentu zbyt ubogiego, a po części też wpływa ze stanu zdrowia koncertanta. Drobne piosenki narodowe płyną z tego ubożuchnego instrumentu tak rzewnie z pod palców artysty, ale za to większe sztuki, na afiszu nazywane np. wielkiemi fantazyami, w wykonaniu wiele, bardzo wiele tracą na swojej wielkości. Najlepiej podobno zrobiłby p. Sokołowski gdyby dał pokój wielkim fantazyom.

Pan Sokołowski lubi grywać na gitarze z towarzyszeniem fortepianu. Najnieszczęśliwiej to dobrane małżeństwo, w żaden też sposób na opisywanym koncercie zgodzić się nie mogło. Potężny ten instrument albo zagłuszał swoją biedną towarzyszkę, albo też oboje byli w najzupełniejszej niezgodzie.

Słuchałem kiedyś wiele razy koncertów Szczepanowskiego na tym samym instrumencie. Pod względem siły, życia w grze, stoi on nieporównanie wyżej od pana Sokołowskiego. O całym zastępie pomocników p. S. nie wiele mogę powiedzieć. Fortepian zajął nie mało numerów afisza, ale niektóre z nich można było śmiało opuścić, zwłaszcza że i tutaj znowu wystąpiły na scenę wielkie fantazye, wykonane także nie bez fantazyi. Ostrożny autor afisza, uważał za właściwe niewymieniać imion ich kompozytorów; ale znamy je dobrze, i czas przestać częstować publiczność podobnemi rzeczami; zwłaszcza iż ta płaci nie źle za słuchanie, bo $1 \frac{1}{2}$ rs. na biedny Maryampol to wcale nie mało. Prawdziwą ozdobą tego koncertu był chór gimnazyalny, który zupełnie poprawnie odśpiewał parę wyjątków z oper, szczególniej dokładnie i gładko był wykonany chór z Lunatyczki. Dyrygujący nim niemałe położył zasługi przez doprowadzenie go do obecnego stanu.

Wreszcie muszę wspomnieć o przybyłej w tym roku do Maryampola truppie artystów dramatycznych pod dyrekcyą pp. Ratajewicza i Królikowskiego. Już od bardzo dawna niebyło w Maryampolu żadnego teatru; wprawdzie przed kilku laty była tu jakaś zaimprowizowana truppa, ale ta nie miała powodzenia, po dwóch podobno przedstawieniach musiała się rozproszyć. Obecna truppa jak dotychczas cieszy się powodzeniem i zapewne jeszcze czas jaki będzie w stanie utrzymać się jako tako. Na pierwszym wstępie jej dyrektorzy znaleźli bardzo wiele trudności. Z wynalezieniem odpowiedniego lokalu kłopot tu niemały, wynaleść jaką taką muzykę niemniej trudno. Wreszcie udało się teatrowi dostać lokal, chociaż zaciasny; a co do muzyki, to trzeba było poprzestać na miejscowych żydkach, nieznośnych rzępołach. Za te niedogodności starają się artyści wynagrodzić publiczność grą staranną i sumienną. Wprawdzie szczupłość sceny niepozwala na wystawianie sztuk większych, ale za to mniejsze bywają wykonywane zupełnie zadawalniająco. Trzeba przyznać pp. dyrektorom, iż unikają sztuk płaskich i niemoralnych, to też co tylko jest inteligentniejszego w Maryampolu bywa na wszystkich prawie przedstawieniach. Wprawdzie z początku tak zwana śmietanka i większa część kobiet unikały teatru, ale obecnie zaczyna się to zmieniać na lepsze. Do najzdolniejszych artystów i artystek truppy należą: p. Królikowski człowiek niemałych zdolności i komik Cybulski. Z kobiet odznacza się p. Królikowska, która wszakże lepiej wydałaby się w poważnym dramacie, niż w lekkich komedyjkach.

Jak długo zabawi u nas teatr, będzie to zależeć od różnych okoliczności. W każdym razie radzi jesteśmy bardzo, chociaż zapewne nie wszyscy, iż możemy długie wieczory przepędzać lepiej niż przy zielonym stoliku, przy którym jeszcze trzeba słuchać wcale niedowcipnych stereotypowych nibyto dowcipów.

* * *

Warszawa jest wzorem dla całego społeczeństwa! Oto Powtarza z nadzwyczajnem przejęciem i dumą każdy warszawianin czystej i nieczystej wody. Hola! panowie; w obec posępnej rzeczywistości dziwnie smutno odbijają wasze słowa i zakrawają co najmniej na śmieszną gaskonadę. Statystyka przestępstw i kradzieży popełnionych w Warszawie daje na to nowy dowód. Nie dosyć że liczba owych jest znaczna, ale co gorsza „z każdym rokiem zwiększa się.“ Na rządowych źródłach oparte sprawozdanie wykazuje że w 1873 r. było 2,511 wypadków kradzieży, w 1874 r. liczba ta powiększyła się o 310 a w ubiegłym 1875 r. znowu się powiększyła o 291 t. j. doszła do poważnej cyfry 3,112 popełnionych kradzieży. Na każdą kradzież średnio przypada 63 rsr. 88 kop.

* * *

Uniwersytet tutejszy zyskał nowego a dzielnego pracownika w osobie p. Stanisława Mikuckiego b. pomocnika bibliotekarza C. warszawskiego uniwersytetu doktora filologii uniwer. moskiewskiego. P. Mikucki obecnie zatwierdzony został jako profesor gramatyki porównawczej języków słowiańskich na wydziale filologicznym.

* * *

W Odessie p. Rontaler nauczyciel gimnazyum Rygskiego b. wychowaniec szkoły głównej warszawskiej, otwiera szkołę języków nowożytnych a mianowicie: niemieckiego, francuskiego, angielskiego, włoskiego i podobno hiszpańskiego. Języki: czeski i polski mają być także w program nauki wprowadzone.

* * *

Pamiętacie zapewne czytelnicy, jaką burzę kiedyś wywołał na siebie „Przegląd Tygodniowy“ żądając publikowania sprawozdań z działalności W. towarzystwa dobroczynności, rozporządzającego, jak wiadomo, bardzo znacznemi środkami. Z podobnem żądaniem obecnie znowu występuje Kuryer Warszawski.

Głos ten ze wszech miar zasługuje na najszersze poparcie ze strony prasy. Towarzystwo dobroczynności głuche na dotychczasowe nawoływania raz przecie powinno wypełnić swój obowiązek, powinno zrozumieć nareszcie że jako instytucya publiczna opierająca swój byt na dobrej woli publicznej, krzywdę wyrządza społeczeństwu dyskredytując się w jego oczach. Krzywdę wyrządza z tego względu, że społeczeństwo może w rezultacie odmówić jej swego poparcia, a bądź co bądź, instytucya ta nie jest dla nas bez korzyści. Uchylanie się zarządu towarzystwa od jawności sprawozdań, słusznie zasługuje na największą naganę i dopóki zarząd nie zmieni swego postępowania, niech się nie dziwi przynajmniej i nie oburza, gdy opinia publiczna stawi go nieraz pod pręgierzem ciężkich zarzutów.

* * *

Sądzimy że nie obojętną będzie dla naszych czytelników wiadomość o mającem nastąpić w naszem mieście otwarciu tak potrzebnych dla nas zakładów naukowych: Instytutu technologicznego, wyższej szkoły handlowej i dwóch wyższych gimnazyów realnych. Myśl ta podobna powstała w sferach wyższych i znajduje tam stosowne poparcie. O znaczeniu i doniosłości tych szkół dla naszego społeczeństwa nie mamy potrzeby mówić nawet, szczególniej dotkliwie uczuć się daje brak zakładu technologicznego, gdyż dotąd wszyscy, szukający na tej drodze karyery, albo za granicę albo do Petersburga i Rygi udawać się musieli.

* * *

Piśmiennictwo nasze znowu poniosło dotkliwą i bolesną stratę. W dniu 23 b. m. w m. Rapello pod Genuą we Włoszech, po krótkiej chorobie zakończył życie Zieliński Feliks rz. radca stanu. Był on jednym z założycieli i ciągłym współpracownikiem Biblioteki warszawskiej i zasilał to pismo cennemi artykułami treści historycznej, ekonomicznej lub finansowej.

* * *

Gdyby nie smutne to wielce ucieszne i zabawne byłyby anomalie spotykane prawie w każdym numerze jedynego, mającego propagować wśród naszych żydów oświatę, pisma. Do takich co najmniej anomalij zaliczamy: artykuły „o prawie międzynarodowem wedle listów Mojżeszowych (sic) i artykuł „Światło i cienie“ w N. 3 „Izraelity“ pomieszczone. Autor pierwszych sili się na dowodzenia, które mają stanowczo usprawiedliwić „ze stanowiska czysto moralnego“ (!?) wyrzynanie przez Izraelitów w pień rozmaitych bałwochwalczych narodów. Drugi artykuł podnoszeniem wstrętnych obrazów średniowiecznych prześladowań religijnych z pewnością ani jednem źdźbłem nie przyczyni się do urzeczywistnienia zdrowej myśli w innych pracach zawartej. Że redakcya mogła zgodzić się na pomieszczenie drugiego, to mniejsza jeszcze. Ale pierwszy nie rozumiemy jak się mógł dostać w szpalty pisma. Autor artykułu nie ma najmniejszego pojęcia o prawie międzynarodowem, wypowiada na każdym kroku zdania o których nikomu się nawet nie śniło. Powoli! powoli! szanowny panie! Zechciej zajrzeć do pierwszego lepszego elementarnego podręcznika pr. międzynarodowego, a przekonasz się wyraźnie jak na dłoni, że pierwsze zaczątki tego prawa datują się zaledwie od początku 17 wieku. Żę więc praca jest fałszywą i niezgodną z wynikami nauki w samej swej zasadzie i zrozumiesz całą śmieszność jej dalszego szczegółowego rozwinięcia, które stoi niżej wszelkiej krytyki.

* * *

Gorąco polecamy naszej czytającej publiczności szerszego znaczenia sprawę, podniesioną w 18 N. Kuryera Codziennego w artykule „nieprawdopodobne a prawdziwe“ p. Adolfa Jankowskiego. Szanowny autor wymownemi słowy, ze szlachetnem oburzeniem wykazuje, że nasi artyści ludzie prawdziwej pracy obdarzeni rzeczywistym talentem, nie tylko nie mogą wybić się na należne im stanowisko, ale... żyją w nędzy. Przyczyną jest brak wszelkiego popytu na ich prace, który to popyt obecnie zniżył się do liczby 20 tylko, rocznie nabywanych obrazów. Gdyby każdy majętny człowiek wedle obliczeń p. Jankowskiego kupił w swem życiu chociaż jeden obraz to już liczba sprzedawanych co rok wzrosła by do 200. Smutne doprawdy przychodzą myśli zawsze, gdy w jakikolwiek bądź sposób wypadnie zatrącić o tych, co niby to na czele społeczeństwa stoją.

Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— W Hercegowinie powtarza się stara historya wszelkich rewolucyi t. j. niesnaski, kłótnie, zawiści i t. p. Lubobraticz musi ustąpić skutkiem nieporozumień, Humbayer jak powiadają, we własnej kwaterze został przez skrytobójcę napadnięty. Lubobraticza wielka szkoda; powstanie traci w nim doświadczonego wodza który nie wdając się w knowania polityczne, miał tylko jeden cel przed sobą, wypędzić turków z Hercegowiny. Cel ten nie podobał się i nie zgadzał się z planami Czarno-Góry, która chce powstanie wyzyskać na korzyść powiększenia swej posiadłości. Dla tego też Lubobraticz był zwykle pod silną kontrolą wodzów oddanych polityce czarnogórskiej. Marzył on o osobnej krainie hołdowniczej „Bośnia—Hercegowina,“ byłby zresztą w ostatnim razie przystał na włączenie tej krainy da Austryi, ale dla Czarnogórza i konneksyi dalszych tego kraju nie miał sympatyi. Wszelako patryotyzm był w nim silniejszy nad wszelkie sympatye polityczne i widząc, że spory między wodzami mogą powstaniu zaszkodzić, sam się usunął. Przez długi czas, dla uniknienia starć, trzymał się zdaleka od nieprzyjaznych sobie kolegów Pawłowicza, Soczycy, Bacewicza, i t. p. stał bliżej granicy dalmackiej, gdy tamci krążyli bliżej Gorańska i Nikszycu; atoli ci ostatni, pobici pod Krstaczem, musieli się połączyć z Lubobraticzem, gdzie przyszło w obozie do ostrych wymówek, kłótni, tak, iż Lubobraticz, widząc jak wrogowie osobiście buntują przeciw niemu wojsko, uznał za właściwe do Dubrownika wyjechać. Odtąd może on być tylko czynny dla powstania w dyplomacyi, choć czarnogórcy i tegoby sobie pewno nie życzyli; militarny zaś i polityczny kierunek ruchów powstańczych przeszedł stanowczo w ręce czarnogórczów. Peko Pawłowicz i jego doradca ksiądz katolicki Muzycz, Łazar Soczyca, grecki archimandryta Melentij i jakiś były nauczyciel gimnazyum, są dziś przewodnikami powstania. O Humbayerze nie słychać. Jako chorwata (zecer z Lublany) był on też pewnie czarnogórcom na przeszkodzie.

— Na dowód, że we Francyi w ogóle panuje nieprzyjazne usposobienie dla Niemców, powtarzamy z pism publicznych dosyć ciekawy list doktora Langelong. Oto jego słowa: „Panowie! Dziś rano otrzymałem drukowany cyrkularz, w którym rekomendujecie mi wprowadzenie w użycie naturalnej gorzkiej Frydrychshalskiej wody (bitterwasser). W mojej kochanej ojczyznie, Francyi, mamy wszystko, czego nam potrzeba, nawet w doskonałym gatunku, między innemi więc i wody mineralne. I prędzej pozwoliłbym umrzeć moim pacyentom, aniżeli zdecydowałbym się przepisać im to co produkuje wasza ojczyzna.—Langelong, doktór medycyny.“

— Największą z bibliotek w Stanach Zjednoczonych jest biblioteka Kongresowa posiadająca 274,000 tomów. Drugą z rzędu jest Biblioteka w Bostonie mająca tomów 273,000. Dalej idą: Biblioteka Uniwersytecka w Harvard, tomów 198,000, i biblioteka w New-Jorku 155,120 tomów mająca.

— Gabinet fizjologiczny, uniwersytetu warszawskiego znajduje się pod zarządem nadzwyczajnego profesora fakultetu lekarskiego, doktora medycyny Nawrockiego.

Z sprawozdania uniwersytetu za rok akademicki 187⁴/₅ okazuje się, iż w początku tegoż roku gabinet fizyologiczny posiada 316 przedmiotów, wartości 6,949 rubli 86½ kop., w ciągu zaś tegoż roku nabyto 6 przedmiotów za 164 ruble, zatem w końcu roku było w gabinecie okazów 322 mających wartości 6,813 rub. 86½ kop.

Дозволено Цензурою. Варшава 21 Января (2 Февраля) 1876 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.